7 DNI

CENA 50 GR

Nakład 30.000 egzemplarzy.

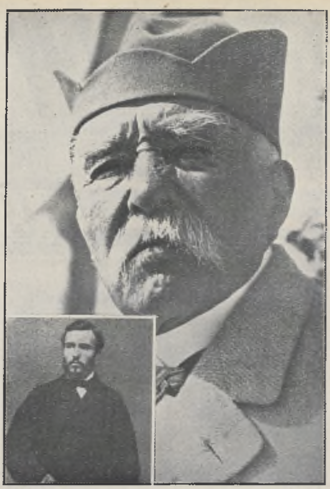
TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Z dymem papierosa. *(Dixie Lee, fot. Fox)*

W TREŚCI M. DEKOBRA

W hołdzie „Ojcu Zwycięstwa"



Jerzy Clemenceau (ur. 1841 † 23 listopada 1929). W rogu u dołu portret J. Clemenceau w wieku 25 lat.

Cicho, jak gdyby tajemnicę czyniąc przed narodem francuskim, złożono do grobu w ukochanej Wandei zwłoki największego z ludzi naszej epoki, Jerzego Clémenceau.

Poraz ostatni spełniono jego wolę, poddając się nakazowi urządzenia jak najskromniejszego pogrzebu. Poraz ostatni — zwyciężył...

Zgon Jerzego Clémenceau opłakuje nietylko Francja, ale również cały świat cywilizowany, odczuwając głęboko stratę tego, co „całe życie swe prowadząc, jakgdyby nigdy nie miał umrzeć", nie zeszedł ani razu z linji czynnej walki o zwycięstwo Sprawiedliwości.

Bo nawet w ostatnich latach, kiedy doprowadził Ojczyznę swą do Pokoju, „Tygrys", zwany od r. 1918 „Ojcem Zwycięstwa", wycofał się z życia publicznego i znowu został Jerzym Clémenceau („tout-court") — nie ustawał w pracy i w zaciszu swej wsi wandejskiej stworzył wspaniałe dzieła — o „Demostenesie" i „Pod wieczór myśli", będące syntezą całego jego życia — dzielnego męża stanu i głębokiego myśliciela. W obecnej chwili cały świat oczekuje z wielką ciekawością ukazania się opracowywanych aż do ostatnich dni, interesujących pamiętników.

Świetny testament! Pomnik własnem rzeźbiony dłutem, wobec którego blakną najpiękniejsze słowa, które usiłowalibyśmy — wiedzeni uczuciem podziwu i wdzięczności — wypowiedzieć na jego śmierć.

Nastręcza się przedewszystkiem wielce charakterystyczna uwaga. Oto Clémenceau, który od zarania swej karjery politycznej wiódł nieubłaganą walkę, nikogo nieoszczędzając, nigdy nie zabiegając o niczyje poparcie — indywidualista w pełnem znaczeniu tego słowa — ubóstwiany i namiętnie zwalczany, przerósł w oczach całego narodu wszystkich współczesnych i zasłużył sobie na powszechną wdzięczność. Signum temporis... Dowód jak powszechnem jest pragnienie wytworzenia elityzmu społecznego, co w samej rzeczy stanowiło podstawę doktryny Clémenceau i cel jego życia.

Trudno zaiste niezmiennie trzymać się tej linji w odmęcie rozpowszechnionego partyjnictwa, będącego udziałem źle pojmowanej demokracji. „Demokracja — mawiał Clémenceau — bynajmniej nie jest równoznaczna z demagogją; demokracja nie polega na udzielaniu stałej i nienaruszalnej równości ogółowi obywateli. Bo przy takiej koncepcji zagadnienie o Państwie i Rządzie znajduje dwojakie rozwiązanie: bądź anarchja w pełnem znaczeniu tego słowa, bądź też losowania funkcji rządowych. System ten, mógł istnieć w Atenach, wiadomo zaś, że zachowywano jedynie podobne pozory — „dla oka", w samej rzeczy zaś prawdziwi przewódcy nie byli wybrańcami losu. Demokracja polega na rządzeniu mas przez elitę, głównym przeto celem demokracji jest wynalezienie sposobu na tworzenie takiej elity. Rozróżnić przytem należy pojęcie elity od arystokracji. Ta ostatnia bowiem dąży do zasklepienia się w formy kastowe — co zresztą jest przyczyną jej upadku i śmierci — elita natomiast jest zmienna. Jest w wiecznym stanie tworzenia się, wylaniając się z głębin mas ludowych, wynurza się na powierzchnię, odgrywa swą rolę i znika jak piana morska, wraz z ustępującą falą, miejsce swe pozostawiając nowej elicie."

I tem się tłumaczy zapewne dlaczego Clemenceau, będąc niezwykle silną indywidualnością, bynajmniej nie walczył o stanowisko. Wyniesiony na fali, wraz z nią ustępował, przyczajony — walczył zaciekle i z wiecznie młodzieńczym temperamentem — aż nowa fala nie wynosiła go z powrotem, ku szczytom.

„Burzycielem gabinetów", „Tygrysem" nazywano tego człowieka, o niewyczerpanych siłach żywotnych. W r. 1915, kiedy powoływano go (w wieku lat 76) do wzięcia udziału w rządzie odmówił, twierdząc, iż „jest za młody" — w istocie bowiem pragnął tem silniej przygotować się do skoku, który go wyniósł w dwa lata później na Szefa Rządu, na męża Opatrznościowego, na Ojca Zwycięstwa, po karkach zdrajców i słabych, ręka w rękę z wczorajszymi „swymi wrogami" i przez nich, z Poincare'm na czele, uproszony o wzięcie w swe ręce steru rządów.

Bogata karjera życiowa. Słowa jego biły, jak grom, niezłomna siła przekonania pociągała za sobą masy, wiodła je ku czynom realnym.

Pierwszą jego ofiarą był marszałek Mac Mahon. Po nim, w 8 lat później, Jules Ferry. Zwalcza kolejno Caillaux, Briand'a (dwukrotnie), Painleve'go, Ribot'a, był zaciekłym wrogiem Poincare'go, z którym od czasu przedwojennych wyborów aż do r. 1917 nie utrzymywał żadnych stosunków.

Pamiętną nadewszystko była owa sesja Senatu, podczas której rzucił rękawicę defetystom, oskarżając Malvy'ego o zdradę Ojczyzny.

Pamiętną — była również chwila, kiedy dzięki jego inicjatywie podpisano w Doullens niezbędny dla zwycięstwa akt o zjednoczeniu dowództwa i powierzono najwyższą władzę marszałkowi Fochowi.

Wielki człowiek! Genjusz!...

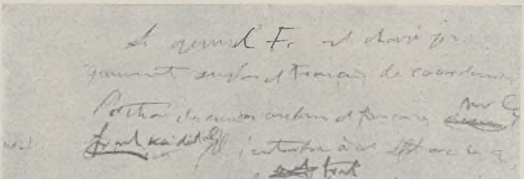
* * *

Z tym większym bólem opłakujemy stratę, którą poniosła Francja, iż Clémenceau był szczerym i oddanym rzecznikiem naszej sprawy — Niepodległości. Zwalczając namiętnie na tym gruncie Lloyd George'a, zawsze deklarował się stanowczo w naszej obronie, twierdząc, iż Entente'a potrzebuje mocnej Polski...

„Liga Narodów byłaby bardzo pociągającą instytucją, ale nie da się jej utworzyć bez państw. Między temi państwami Polska winna być jednem z najważniejszych, jako bufor na Wschodzie, dokładnie tak, jak Francja jest buforem na Zachodzie."

Słowa te, wypowiedziane na konferencji „czterech" dosadnie malują, jak wielkie znaczenie przypisywał Clémenceau rozwiązaniu po naszej myśli sprawy narodowej.

I wiemy również, za co mu jesteśmy wdzięczni, iż wielce biadał nad trudnościami, które usiłują nam stworzyć w związku z ustawicznie podejmowaną sprawą rewizji Aktu Wersalskiego.



Dokument historyczny, który przyczynił się do zwycięstwa. Protokuł własnoręcznie spisany przez J. Clemenceau w Doullens (26.III 1918 r.) w sprawie zjednoczenia dowództwa wojskami alianckiemi: „General F... jest upoważniony przez rządy Anglji i Francji do koordynowania działań wojsk angielskich i francuskich na froncie zachodnim. W tym celu porozumiewać się będzie z 2 głównodowodzącymi, którzy są proszeni o udzielanie mu niezbędnych wiadomości".

Znamiennym jest fakt, iż prasa niemiecka, starając się utrzymać pozory kurtuazji w wypadku tak wielkiej straty dla narodu frncuskiego — nie mogła się powstrzymać, by, chociaż między wierszami, dać wyraz zadowoleniu swemu z powodu osłabienia frontu przeciwników oportunizmu względem Niemiec. Istotnie bowiem osoba zmarłego „Tygrysa" była dla Niemiec symbolem traktatu wersalskiego, a tem samem promotorem walki przeciw zakusom imperjalistycznym, które wciąż kiełkują w umysłach germańskich. Coś nie coś o tem wiemy. Francuzi również — i to właśnie stanowiło tezę wielkiego męża stanu — równowagi na Wschodzie i Zachodzie Europy, tak wielce niestety osłabionej przez zbędną uległość.

Er.



Na miejsce zmarłego wiceprezydenta Konfederacji Szwajcarskiej Scheurera został mianowany Prezydentem na rok 1930 Jan-Marja Musi.



Profesor Owen. W. Richardson z King's College Strand, znany badacz i wynalazca w dziedzinie fizyki otrzymał nagrodę im. Nobla.



Wysoki Komisarz Wielkiej Brytanji, Sir Francis Humphreys, któremu Irak zawdzięcza poważne zmiany w kierunku uznania samodzielności.



Dr. Artur Harden, profesor uniwersytetu londyńskiego otrzymał w uznaniu swych zasług w dziedzinie chemji nagrodę im. Nobla.



Sir Esmond Ovey, ambasador angielski w Brazylji został przeniesiony na odpowiedzialne, wobec pertraktacyj z Sowietami stanowisko do Moskwy.



Piękny pomnik Wilsona, dzieło artysty Gutzon Borglum, którego odsłonięcie ma nastąpić w dzień urodzin Wielkiego Prezydenta, w Poznaniu.

OD REDAKCJI.

ZAWIADAMIAMY NINIEJSZEM, IŻ WYNIK KONKURSU NA TYTUŁ DO POWIEŚCI STANISŁAWA STRUMPH-WOJTKIEWICZA ZOSTANIE OGŁOSZONY W NUMERZE NOWOROCZNYM „7 DNI".

W ZWIĄZKU Z KONKURSEM „NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE" PODAJEMY DLA ORJENTACJI, IŻ NAJWIĘKSZA ILOŚĆ GŁOSÓW, ZOSTAŁA DOTYCHCZAS NADESŁANA NA NR. 233 W LICZBIE

554.

DALSZE DANE ORJENTACYJNE W NASTĘPNYCH NUMERACH.



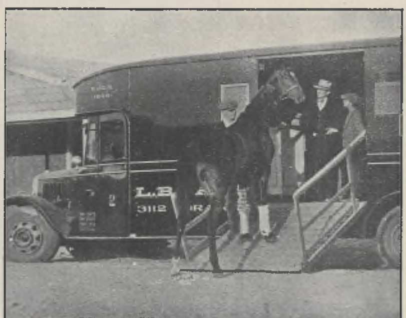
Ekipa konna Wojsk Polskich po raz trzeci została zaszczytnie wyróżniona w Stanach Zjednoczonych za brawurową jazdę. Członkowie zwycięskiej ekipy, por. Zgorzelski, Gzowski i Starnawski.



Pierwszy wysłannik dyplomatyczny Etjopji w Anglji, minister Nagadras Makonnen złożył listy uwierzytelniające Ks. Walji.



Sezon polowań jesiennych jest w całej pełni. Na ilustracji naszej widzimy Andrzeja ks. Poniatowskiego, hr. J. B. de Luppo, hr. Harambruro, margr. de Montcalm, hr. Pozzo di Borgo i barona de la Grange na polowaniu w Szkocji.



W Stanach Zjednoczonych, gdzie komunikacja konna jest zupełnym przeżytkiem, konie nawet jeżdżą samochodami. Oto widzimy na naszej fotografji samochód firmy General Motors, specjalnie przysposobiony do przewozu koni. Większe stajnie wyścigowe i hodowcy są wyekwipowani w podobne wozy.

ZDZISŁAW DĘBICKI.

DŻUNGLA

Warszawa posiada 10.000 zeregestrowanych złodziei zawodowych. Dziesięć tysięcy na miljon mieszkańców stolicy!

Nie każdy może zdaje sobie sprawę z tego, co to oznacza? Otóż znaczy to, że na każdych 100-u mieszkańców naszego miasta przypada *jeden* złodziej, na każdy 1000 — *dziesięciu* złodziei, na każde 10.000 — *stu*, na każde 100.000 — *tysiąc!*

A jeżeli odliczymy teraz kobiety, których większość nie pracuje wytwórczo, i dzieci do lat 14-u, to okaże się, że 1 złodziej przypada u nas na 40 — 50 ludzi pracujących. Ponieważ zaś jeden „dobry“ złodziej może doskonale w ciągu roku obsłużyć taką liczbę klientów, przeto każdy pracujący i zarabiający na swoje i swojej rodziny utrzymanie mieszkaniec Warszawy może być raz do roku okradziony.

Jakoż rzeczywistość nie jest daleka od tego arytmetycznego przypuszczenia. Aby to stwierdzić, wystarczy stale przez jeden tylko tydzień czytać rubrykę kradzieży w pierwszym lepszym dzienniku. Po tygodniu podsumować to i otrzymaną sumę pomnożyć przez 52. Okaże się wówczas, że w stolicy naszej niema mowy o bezpieczeństwie własności, systematyczne bowiem, codzienne okradanie ludności odbywa się pod okiem t. zw. władz bezpieczeństwa, bez żadnych przeszkód, równie dobrze i śmiało, bezczelnie i sprytnie na ulicach, w tramwajach, w teatrach, w wagonach kolejowych, jak po domach prywatnych, bez włamania i z włamaniem, na wszystkie znane i nieznane sposoby.

Złodzieje dobierają się nietylko do kieszeni, nietylko zamieniają zgrabnie teki z pieniędzmi na teki bez pieniędzy przy okienkach bankowych, nietylko operują wśród emigrantów i reemigrantów, polując na ich dolary, lecz okradają także po nocach zamknięte i zakratowane sklepy w najrzęsiściej oświetlonych i najruchliwszych dzielnicach, nawiedzają mieszkania prywatne, skąd unoszą futra, garderobę, bieliznę, srebra i t. p. przedmioty bez zwrócenia na siebie niczyjej uwagi, ba! nawet bywają „gośćmi“ poselstw zagranicznych (poselstwo brazylijskie, ambasada francuska!), mimo, że przed każdem poselstwem z urzędu stoi w dzień i w nocy posterunek policyjny.

Czego to dowodzi? Tego, że nie mieszkamy w mieście cywilizowanem, lecz w dzikiej *dżungli* wśród ciągłego niebezpieczeństwa mienia a często i życia. Nikt już nie jest pewny tego, co posiada przy sobie lub w domu. Nikt nie wie, czy najdroższa jego pomiątka rodzinna, przechowywana z pietyzmem w biurku, nie stanie się jutro łupem złodzieja.

Istotnie, w Warszawie nie można nigdy domu samego zostawić. Zawsze ktoś musi w nim pozostać, aby pilnować. Zawsze trzeba się mieć na baczności.

Podczas kiedy w dalekiej, północnej Finlandji ludzie nie znają zamków i zostawiają na noc drzwi swoich mieszkań otwarte, pewni, że nikt przez nie nie wejdzie, podczas gdy w Szwecji policja kryminalna zajmuje się odszukiwaniem właścicieli rzeczy zgubionych, bo innego zajęcia już niema oddawna— u nas niepomagają ani zamki angielskie, ani sztaby żelazne, ani drzwi opancerzone, ani stały „dozorca“ domowy.

Idźmy jednak jeszcze dalej. Podczas kiedy gdzieindziej policja strzela do bandytów i złodziei, u nas — bandyci i złodzieje strzelają do policji. Długi szereg „ofiar obowiązku“, który wykazuje corocznie statystyka Komendy policji państwowej, jest najwymowniejszem przez swój tragizm świadectwem tego, co się dzieje.

Dżungla szaleje! Dżungla jest zaopatrzona w broń i w amunicję!



Zasługi policji wielce są cenione na całym świecie. Ilustracja nasza przedstawia paradę policjantów londyńskich, odbytą z okazji 100-letniego jubileuszu przed ks. Walji i szefem policji lordem Byngiem.





Z okazji 100-letniego jubileuszu policji paryskiej ufundowano dom zdrowia dla policjantów oraz rozdano liczne nagrody dzielnym stróżom bezpieczeństwa. Pomiędzy innymi policjant Faer otrzymał Legję Honorową, a siostra Marja Ludwika z Centralnego Aresztu złoty medal zasługi.

Spokojny i uczciwy obywatel nawet wówczas, kiedy mieszka na krańcach miasta, w dzielnicy, uznawanej przez władze za niebezpieczną, musi poważne robić starania i dobrze się nachodzić, zanim otrzyma pozwolenie na broń. Złodziej tymczasem posiada ją bez pozwolenia i nosi zawsze przy sobie, czyniąc z niej użytek, kiedy zechce.

Nie mówimy tu rzeczy nowych. Dobrze o tem wie policja, dobrze o tem wie także cała Warszawa, a szczególnie mieszkańcy przedmieść, którzy słyszą niemal w wieczór pukanie z rewolwerów w dzielnicach złodziejskich.

Dzielnice takie są w Warszawie — Wola, Ochota, Mokotów za słynną ulicą Madalińskiego i słynnym na niej „cyrkiem“. A w dzielnicach tych są domy, wyłącznie przez złodziei zamieszkiwane. Ich „home'y“ jednak są nietykalne, policji bowiem wolno ich schwytać tylko na gorącym uczynku. Tam prowadzą oni życie „rodzinne“ i „towarzyskie“ w warunkach daleko większego bezpieczeństwa, niż niż my je prowadzimy. Tam niema kradzieży ani rozbojów. Conajwyżej są bójki, będące porachunkami zawodowemi lub miłosnemi *).

W dzielnicach tych, które szerokim pasem otaczają wyspę śródmieścia, wylęga się przestępstwo i zbrodnia. Tam gotowe są już kadry marszowe, które w pierwszej chwili jakichkolwiek rozruchów w mieście, wyruszą na łup, na grabież. Tam dzieci już kradną i przygotowują się na przyszłych zawodowców, zanim nie odbędą „wyższych kursów“ w więzieniu karnem, poczem, odzyskawszy wolność, rozpoczną szerszą i bardziej precyzyjną, odpowiadającą wymaganiom „kunsztu“ złodziejskiego „robotę“, która im da bez pracy dostatek i możność prowadzenia wesołego życia. Bo przecież tylko część kradzieży bywa wykrywana, tylko część przestępców do staje się w ręce karzącej sprawiedliwości. Reszta korzysta w pełni z praw wolnych obywateli.

W ten sposób narasta na społecznym organiźmie Warszawy olbrzymi wrzód, który grozi zakażeniem zdrowym jeszcze tkankom.

Jak temu zapobiedz? Jak ten wrzód zoperować? Zabieg chirurgiczno-policyjny w tym kierunku jest niezbędny, bo, jeżeli dalej tak będzie, jak jest obecnie, to w krótkim czasie liczba złodziei w Warszawie podwoi się i potroi, wszystko bowiem temu sprzyja, zarówno ogólna atmosfera moralna życia powojennego, jak i zbyt niskie stopnie kar za kradzież.

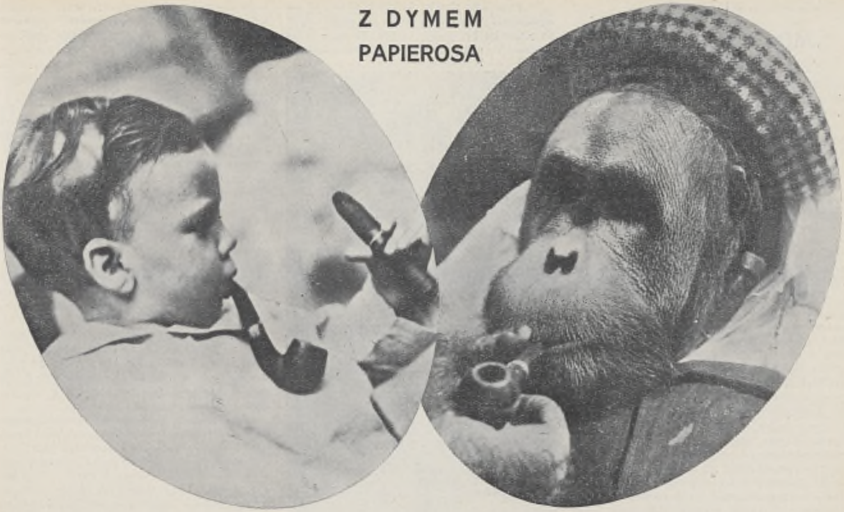
Społeczeństwo, które ma prawo od władz rządzących wymagać dla siebie nietylko większego lecz zupełnego bezpieczeństwa, musi wystąpić z żądaniem tego bezpieczeństwa, musi żądać opieki nad owocami swojej pracy i oszczędności, które dziś stają się codziennie łupem złoczyńców.

Ludzie uczciwi, zarabiający z trudem na swój chleb i na tę odrobinę dobrobytu, który jest ich udziałem, nie mogą być wydani na pastwę dziesięciotysięcznej bandzie złodziei i włamywaczy.

Warszawa, stolica kraju, nie może być *dżunglą*, pełną dzikich zwierząt, szczerzących swoje kły na każdego przechodnia; musi być cywilizowaną stolicą cywilizowanego kraju, gdzie każdy — swój i obcy — czułby się bezpiecznie w domu i na ulicy.

*) W nowych dzielnicach miasta, jak np. na Kolonji Lubeckiego, wybudowano wille, które sąsiadują bezpośrednio ze staremi domkami, zamieszkałemi przez najgorsze męty społeczne. Ochrona lokatorów broni tych obywateli od wysiedlenia i niema na to rady. Ciekawym faktem do zanotowania jest to, iż lokalni ci rzezimieszkowie szanują dobro swych sąsiadów. Gentlemani! Nie mniej jednak bójki i dzikie orgje, będące codziennem zjawiskiem, bynajmniej nie uprzyjemniają zamieszkiwania w pięknej skądinąd dzielnicy miasta. (Przyp. Red.).

Z DYMEM PAPIEROSA



Wszyscy dziś palą... Któżby pomyślał, żeby 16-miesięczne dziecko, jak mały Tracy Dumzy z Chicago mógł palić nie „koci ogon", ale prawdziwe cygaro, lub fajkę. Sultan I, którego nauczono palić do występów publicznych, tak wielce się przyzwyczaił do „Capstainu", że nie może się wprost obejść bez fajki.

Nałóg palenia ma swoich przeciwników, więcej wszakże ma zwolenników, o czem świadczą dowodnie cyfry wzmagającej się konsumpcji światowej tytoniu.

Utrzymują, że nałóg ten jest tak stary, jak świat, a gdy jeszcze nie znano tytoniu, wdychano z glinianych fajeczek dym z różnych traw, jak np. Rzymianie, którzy palili len.

Nie mniej z pewnością wypisywano uczonych rozpraw w obronie tytoniu, jak w sprawie tępienia nałogu palenia, a jednym z pierwszych dokumentów historycznych, które w tej materji znajdujemy w naszych dziejach, to list ze Stambułu od posła Uchańskiego do małżonki Stefana Batorego, przy którym załączona była próbka tytoniu.

Kiedyindziej znów król angielski Jakób I przesłał był naszemu monarsze, Zygmuntowi III uczoną rozprawę p. t. „Misokapnos", w której autor zwalczał rozpowszechnienie tytoniu. Propaganda ta, jak zwykle to bywa, wywołała odpowiedź, która się ukazała pod tytułem „Antimisokapnos", a pióra była pewnego uczonego jezuity.

Czyżby więc i Kościół, tępiący wszelkie nałogi nie zwalczał używania tytoniu?

Okazuje się, że wydano jedynie w tej materji zastrzeżenie, dotyczące „niuchania" tabaki przed nabożeństwem, gwoli zabezpieczenia się przed nieprzystojnem kichnięciem. Ciekawym dokumentem historycznym jest pewien obraz z XVI w., zdobiący jeden z kościołów w Saksonji, na którym wyobrażono, jak Trzej Królowie w darze składają św. Józefowi tabakę.

Moraliści, biadający, iż kobiety współczesne wszędzie niemal i o każdej porze lubią zaciągać się dymem z papierosa, niechaj się dowiedzą, iż królowa Katarzyna francuska, której Jean Nicot, (od nazwiska jego Littre stworzył termin botaniczny *nicotiana tabacum)* po powrocie z misji do Portugalji, przywiózł tytoniu, tak wielce zasmakowała w tabace, że tytoń nazwano od tego czasu „trawą królowej". Paliły wielkie damy na dworze Ludwika XIV, paliły damy za czasów Pierwszego Cesarstwa, a Georges Sand, jak utrzymują, nie gardziła nawet cygarem. I mimo, że na początku ubiegłego stulecia palenie w publicznem miejscu (nie zażywanie tabaki) wywoływało zgorszenie, a w niektórych krajach, jak w Austrji, było zakazane przez policję, nałóg palenia tak szybko się rozpowszechnił, iż słynna elegantka, dama dworu Napoleona III, pani de Pourtalès paliła w swym salonie cygaretki, a hrabina de Lecay-Marneisa wolała skręcać papierosy z najpośledniejszego gatunku tytoniu, zwanego „caporalem", odpowiadającego znanej u nas „machorce".

Propaganda przeciw tytoniowi nie mogła skądinąd znaleść zwolenników wśród sfer, od których zależało ograniczenie jego konsumpcji, a to chociażby z powodu, iż rychło spostrzeżono, jak wielkie mogą z tego tytułu wpływać dochody dla skarbu. Opowiadają, iż Napoleon spotkał na balu dworskim niejaką panią Robillard, małżonkę jednego z większych hurtowników tytoniu. Dama posiadała tak piękne kosztowności, co nie uszło uwagi Cesarza, iż w kilka miesięcy później, mając w pamięci olbrzymie dochody czcigodnego kupca, monarcha postanowił dla dobra kraju zaprowadzić monopol tytoniowy. Tem samem powodował się wielki reformator skarbowości polskiej, Lubecki, który dzięki monopolowi podniósł wydatnie dochody państwowe.



Fot. Paramount.

Piękne panie... „schocking" palenia jest dziś przeżytkiem, nierzadko bowiem, spotkać można panie, z papierosem w ustach nawet na ulicy.

Jedną z najbardziej rozpowszechnionych form, pod którą używano ongi tytoniu, była tabaka.

„Tabaka — opowiada Kitowicz — była z początku prosta, z tytoniu w donicy wierconej robiona, do której, dla tęgości, owi wezwyczajeni niechacze, którzy woleli bez chleba się obejść, niż bez tabaki, przydawali popiołu z skórek łoziny albo z grochowin palonych, aby im w nosie lepiej wierciało, a potem nastała ropa".

Komuż to innemu — jak nie cudzoziemcom zawdzięczać należało udoskonalenia w wyrobie tabaki?

Okazuje się tedy, iż za Augusta III słynęła tabaka, zwana „srajkoziną" (od imienia pewnej włoszki, nazwiskiem ponoć — Syrakuzina), która była wyrabiana w kilku gatunkach, zależnie od grubości przemielenia i przyprawienia lawendą, bergamotą lub innem pachnącem ziołem.

Niechaj nam Czytelnicy wybaczą kilka szczegółów o słynnej tej tabace, odium zaś za wszelkie drastyczności złożyć nam wypadnie na cytowanego już Kitowicza. „Wkrótce — czytamy w tem źródle — zaczęto pomawiać Srajkozinę, iż miesza do tabaki koperwas dla czarności i szczypania, a mocz dla lipkości i lepszego ziarnowania się". W ten sposób Włoszka straciła klientelę i zmuszona została wyjechać do Ojczyzny, a miejsce jej zajęli również cudzoziemcy — Fontana, a później niejaki Birest.

Gatunki tabaki zagranicznej, którą dziadowie nasi z lubością zażywali, nosiły przeróżne nazwy, jak santonierki, holenderki, hiszpanki, albanki, marokanki i t. p.

Na pocieszenie nałogowcom powtórzymy wreszcie anegdotę o pewnym Czechu, nazwiskiem Bauer, który zażądał, by pochowano go z ulubioną fajką i kapciuszkiem do tytoniu. Spełniono tę wolę po jego śmierci, a poczciwa wdowa przypomniała sobie w ostatniej chwili, że nieboszczyk choć nic nie wspominał o zapałkach, może ich potrzebować, więc i te włożono mu do trumny.

A na przekór przeciwnikom tytoniu zacytujemy nazwiska kilku słynnych ludzi — Napoleona, Bismarcka, przyrodnika Fabre'a — którzy z namiętnością oddając się „niuchaniu" lub paleniu, bynajmniej nie odczuwali rzekomo zgubnych następstw nikotyny.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

„MOJA WARSZAWA"

„Obrazkami z niedawnych lat" nazwał Or-Ot ostatnią swoją retrospektywną wizję poetycką Warszawy *). Tak się przynajmniej wydaje autorowi, bo wżył się dość głęboko w przeszłość rodzinnego miasta, by mieć prawo twierdzić, że pięćdziesiąt lat — to dla niego nie lata. Zresztą wiadomo, że Artur Oppman, obecnie podpułkownik w stanie spoczynku, odmłodniał gruntownie przed dziesięciu laty, kładąc na się mundur wojskowy. Od owej chwili nawet inaczej liczy bystro mknące dni i już nie przed czasem, ale raczej przed rangą, zwykł jest stawać na baczność.

Nie będziemy się tu wadzili o to z poetą, któremu tak w mundurze do twarzy. Powiemy tylko, że te dla niego „niedawne lata" — dla nas są już bardzo dawne. Odległe, minione, bezpowrotne. Ów cały cykl feljetonów o Warszawie, pisanych poetycką prozą, gęsto przetykaną perełkami wierszy, owiewa sentyment rodząca mgiełka przeszłości. Kiedy utwory te drukowane były kolejno w „Kurjerze Warszawskim", nie czuło się ich sentymentu w tym stopniu, co teraz. Wówczas tonęły w powodzi wiadomości z dnia bieżącego; obecnie, wyzwolone i zebrane w tom, stały się znów sobą i pachną ze staroświecka — lawendą. „Moja Warszawa" Or-Ota — to jak gdyby o jedno pokolenie młodsza siostra „Kramu malowniczego" Piwarskiego, choć rysowana piórem, a nie rylcem, i choć przeważnie nie typy poszczególne przed oczy przywodzi, ale scenki zbiorowe, obrazki i widoki. Pokrewną jest „Kramowi malowniczemu" przez zacięcie charakterystyczne i czystość rysunku. Chwilami tylko, w momentach groteskowych, kończy się Piwarski, a zaczyna Kostrzewski, bezpośrednio styczny z opiewaną przez Or-Ota epoką.

Kiedy się obecnemu — tak nielicznemu — pokoleniu „czytających Polaków", mówi o Or-Ocie, spotyka się najczęściej zmrużenie oczu, jakgdyby szukających czegoś w zamierzchłej przeszłości. Prawda: nauczycielem przeszłości jest Or-Ot, mistrzem tem wnikliwszym, że wiedzie go za rękę poezja, czysta, nierobiona, szczera, i że nią niewoli serca. Ale poeta nie był nigdy tej przeszłości przysięgłym chwalcą. Miał w sobie przez talent daną, przez wielką erudycje nastawioną miarę, która pozwoliła mu być sprawiedliwym i krytycznym w traktowaniu umiłowanego przedmiotu. Or-ot, chociaż był zawsze entuzjastą — został nim po dziś dzień — nigdy nie pozwolił się porwać rzeczom wątpliwym z narodowego punktu widzenia. W tem jest wielka dla narodu wartość dydaktyczna jego poetyckiego dzieła.

Stąd właśnie płynęło i płynie jego umiłowanie wojska, krzewienie kultu pamiątek wojskowych, w momencie, kiedy te zaczęły ludziom w oczach blednąć i zasnuwać się mgłą zapomnienia. To, co dla ducha wojskowego narodu zrobili w powieści Sienkiewicz i Żeromski, to samo w poezji uczynił Or-Ot. Dlatego pewne sfery, bojące się, jak ognia, poszczęku oręża w poezji, nazywają Or-Ota „militarystą" i pozwalają sobie traktować go, jak stare dziecko, w dodatku w sukience nie pierwszej mody.

Zarzut „militaryzmu" napewno Or-Ota nie obrazi, tem więcej, że ten jego militaryzm jest zawsze oprawny w kult człowieczeństwa. A co do „mody" na poezje Or-Ota, to utwory prawdziwego talentu mają tę właściwość, iż stoją właśnie po za modą literacką. W płaszczyźnie mody Or-Ota, autora „Kroniki mieszczańskiej" i „Listu z Sybiru", rozpatrywać nie wolno. Te rzeczy będą czytane wówczas jeszcze, kiedy o większej części „modnych" dziś utworów ludzie dawno zapomną.

Jak giętkim zaś i ciągle jeszcze młodym jest talent poety, świadczyć chociażby mogą niedawno drukowane płomienne erotyki lub groteski, zamieszczane w „Cyruliku Warszawskim". Wróćmy jednak do ostatnio wydanego zbioru.

*) Artur Oppman (Or-Ot). Moja Warszawa. Obrazki z niedawnych lat z ilustracjami St. Sawiczewskiego. Warszawa 1929. „Księgarnia Polska" Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej. Stron 144.

W dwudziestu sześciu obrazkach zamknięte jest wspomnienie Warszawy z przed pół wieku, kiedy, nie przestając być stolicą narodu, nie była stolicą państwa. Nie ujmowało to jej majestatu; przeciwnie



Tracz z pod „Kopernika".

może. Miała majestat cierpienia, i Or-Ot, który jest epigonem romantyzmu, za tym majestatem mimowoli tęskni. Tęskni za czystością ideału, zrodzonego w dniach cierpienia, a obniżanego dziś przez dzień powszedni. Tęskni — co tu ukrywać — za walką, którą od młodości, jako poeta narodowy, toczył. Była to walka z wrogiem narodu, wrogiem zewnętrznym. W tej walce jednoczyła się Polska,



Reklama przed pięćdziesięciu laty.

zwrócona, mimo istniejących i wówczas podziałów, wspólnym frontem ku nieprzyjacielowi. Taka walka napawała dusze słodyczą; wszelkie walki wewnętrzne, choć nieuchronne może, rodzą zawsze gorycz. Nie dziwmy się przeto tęsknocie poety, która zarazem jest jego tęsknotą za minionemi dniami młodości.

Przebiegnijmy raczej z nim razem dawne podwórka, sienie, facjatki i strychy, obejrzyjmy szyldy i znaki staromiejskie. Patrzmy na to wszystko z uwagą, bo nikt inny nam tego nie pokaże. Zawitajmy do piwnicy Fukierowskiej, do cukierenki na rogu Świętojańskiej i placu Zamkowego, z traczami z „pod Kopernika", z literatami i artystami na araczek „pod dzwonnicę". Przypatrzmy się Warszawie od strony Wisły, jedźmy na Saską Kępę i Bielany, czy to, kiedy na wodę puszczają wianki, czy wcześniej jeszcze, gdy zakwitną bzy lub pierwsze fijołki. Jak z kopersztychów dawnych książek zdjętych, zobaczymy: panienkę z magazynu, posłańca, starego dorożkarza, nakarmimy gołębie i w zaułku ulicznym, podczas gdy zapalać będą latarnie, przeczekamy wiosenną ulewę. A potem, bogatsi o jeden więcej nastrój i przeżycie, przez ogród Saski pójdziemy na Leszno i tam skłonimy głowę przed starym krzyżem. Nie. My przystaniemy przed nowym, bo starego już niema. Ale poeta go dobrze pamięta i sprawia, że odtąd będziemy o nim wiedzieli i widzieli go nieomal na jawie.

„Przy wielkim, zapuszczonym ogrodzie, pełnym drzew i chwastów, stał ów krzyż, ucieczka strapionych i pokrzywdzonych lesznian; białe płatki akacji spadały z za parkanu na głowę Chrystusa, opływała ją woń bzów, rosnących dziko w zaniedbanym sadzie, a gdy bawiące się dzieci napełniały wrzawą radosną ogród wiosenny, uśmiechała się twarz, skrwawiona i blada, pełna ziemskiego smutku i zaziemskiej dobroci.

Na małą główkę patrzył wzrok,
Pełny litości świętej,
Że oto iść jej w ból i w mrok,
W burzliwych fal odmęty.
I że dla dziecka, tak czy tak,
W żałość i w smutek droga,
Póki trzepoce serce—ptak,
Aż do mogiły proga.

Pomiędzy Solną a Żelazną, po prawej stronie ulicy, idąc od Rymarskiej, obok domu, „gdzie straszy", wpobliżu dawnych okopów, stał ów krzyż prastary..."

Wspomnienie... Wspomnieniem jest ten krzyż, jak wszystko, co było, co przeszło i nie wróci. A przeto warte jest pamięci, bo tylko na przeszłości zaszczepiona — teraźniejszość ma wagę i moc. Bez przeszłości — dziwnie jest blada, licha i tandetna. Czy wolno przeszłości nie znać, gdy się ją ma — i piękną?

„Wspomnienie"... Tak zatytułowanym obrazkiem kończy się tom. I dziwnym trafem — w tem wspomnieniu naszkicowana jest sylweta zmarłego niedawno znakomitego mistrza słowa, słynnego poety, Czesława Jankowskiego.

„...Był czarujący. Modre, rozmarzone oczy, bujna, jedwabista czupryna, blada twarz, błękitny szalik na szyi... Czesław — twórca „Arabesek"!...

Tak się przedstawił na polu pierwszych powodzeń literackich, w redakcji „Kurjera Warszawskiego", dawnego „Kurjera" z placu Teatralnego, z Wacławem Szymanowskim na czele, olśnionemu wzrokowi „piętnastoletniego Artura O." ten, którego śmierć przed kilkoma tygodniami zabrała. Z jakiemże głębokiem wzruszeniem odczytuje się dzisiaj pełen melancholji ośmiowiersz, którym Or-Ot zamyka swe wspomnienia:

„Czy pamiętasz, mój drogi Czesławie,
Ten daleki, piękny świat,
Gdyśmy obaj marzyli o sławie,
Rwali pierwszych pieśni kwiat?
Tak minęło, jak sen, co przeleciał,
Życie: blichtr, złudzenie, kłam...
I dziś, czegóż my chcemy od świata?
Powiedz, — bo ja nie wiem sam..."

BRUNO WINAWER.

Na nas kolej, panowie

W niniejszym numerze Czytelnicy znajdą dwa artykuły, w których sprawa dźwiękowców oświetlona jest z różnych punktów widzenia. Dyskusja otwarta — dyskutujcie jaknajwięcej, a z pewnością przyjdziecie z pomocą genjalnym inowatorom w dziedzinie ulubionej przez Was X-ej Muzy.

W sporach i dyskusjach kawiarnianych ludzie często ciskają na szalę pewien aforyzm, który mniej więcej w takich można zamknąć krótkich słowach:

„Sama maszyna nie daje szczęścia".

Przyczem kiwają groźnie palcem wskazującym, mrużąc oko i wogóle zachowują się tak, jakby jeszcze przed Kolumbem odkryli Amerykę.

Naturalnie i oczywiście, szanowni panowie! Któżby wam śmiał oponować? Postęp polega na pewnej współpracy i największy entuzjasta nauk ścisłych nie będzie twierdził, że „sam przyrząd" wystarcza. Wieczne pióro, maszynka Remingtona — to świetne aparaty, ale żaden z nich nie podda literatowi pomysłu i dobry dramat napisać można od biedy nawet starem gęsiem piórkiem, maczanem w inkauście. Telefon udał się świetnie, ale jeżeli mamy rozrzucać po mieście plotki zapomocą prądu elektrycznego, to Bell, Edison, Pupin wysilali się niepotrzebnie, „poczta pantoflowa" spełniała równie dobrze swoje zadanie historyczne.

Twórcy fenomenalnego radja naprzykład byli w znacznie gorszej sytuacji. Po chwilach upojenia i szału nadszedł szary moment otrzeźwienia. Co począć z tym cudownym fantem, który mamy w ręku? Co grać na stacjach nadawczych? Śpiewać wciąż arje operowe i dmuchać w saksofon? Mówić o hodowli drobiu, o wyścigach, o wyczynach sportowych, o pogodzie? Czy odbiornik radjowy ma być „gazetą elektryczną" czy też raczej instrumentem muzycznym? Jak olśnić przeciętnego słuchacza i jak ułożyć program?

O pierwszych samolotach pisano białym wierszem i prozą poetycką nawet w pismach codziennych. Artykuły o Lathamie i Bleriocie brzmiały, jak hymny, ody, peany i fanfary, jeszcze niedawno przed ćwierćwiekiem.

Dziś — po latach dwudziestu pięciu — zastanawiamy się spokojnie i trzeźwo nad sprawą, jaką właściwie rolę przeznaczyć Ikarom nowoczesnym? Oddać im pocztę czy też przewozić na skrzydłach, pod chmurami i nad obłokami, pilniejsze przesyłki i towary?

Potężna Ameryka teraz dopiero opracowała plany komunikacji lotniczej, wozi pasażera w dzień aeroplanem, w nocy wagonem pullmanowskim, skróciła dystans Nowy Jork — Frisco o 60 procent.

Niemcy zbudowali port w Tempelhofie i metalowe ptaki „odchodzą" i „przychodzą" ściśle podług rozkładu jazdy, jak pociągi na dworcu kolejowym. Co kilka minut rozlega się sygnał i ląduje „Junkers" z Wrocławia, albo startuje płatowiec Ullsteina i zabiera gazety, mokre jeszcze od farby drukarskiej, na prowincję.

Każdy prawie genjalny pomysł techniczny — albo raczej naukowy — przechodzi przez trzy wyraźne i ciekawe fazy. Najpierw — najlepszy może i najpiękniejszy—okres cichej pracy twórczej w laboratorjum. Wielki Hertz bada fale elektryczne, małż. Curie szukają radu w pecablendzie.

Później — akt drugi, moment triumfu. Jest! Zwycięstwo! Możemy na setki kilometrów przesyłać sygnały elektryczne przez eter, odkryliśmy pierwiastek promienny, otworzyliśmy drzwi na świat nieznany...

W akcie trzecim — taka to już kolej rzeczy ludzkich — napięcie dramatyczne nieco słabnie i akcja toczy się ospale. Co począć z radem, falami elektromagnetycznemi, światłem rur neonowych, promieniami Roentgena?

Jak wyzyskać teorję Einsteina?

Nadchodzi poprostu czas, kiedy pionier, odkrywca, wynalazca, kiedy Prometeusz oddaje żagiew przechodniowi i z melancholijnem uśmiechem mówi:

— Proszę. Na was kolej, panowie...

Widziałem niedawno oba filmy dźwiękowe, które dotarły do Warszawy. Muszę to raz wreszcie powiedzieć publicznie: jestem olśniony i zachwycony. Już dotychczasowy „wyczyn" techniczny przeszedł moje oczekiwania najśmielsze.

Jak świetnie brzmi czarujący akompanjament muzyczny! Piosenki Jolsona, chóry murzyńskie, naiwna parowa katarynka na statku komedjantów, gwar i rejwach w podrzędnym kabarecie amerykańskim, śmiech pijaka, słodki głosik chorego dziecka... Coś człowieka wyrywa z szarej ulicy warszawskiej, przenosi go nad Hudson i rzekę Mississippi, widz jest swoim własnym wnukiem, patrzy, słucha, oczom i uszom nie wierzy, ogląda i podziwia jakiś teatr z dalekiej przyszłości.

I wbrew obawom zaśniedziałych teoretyków — miejscowych i zagranicznych — nikogo to nie razi, że wyolbrzymiona postać na ekranie mówi nieco tubalnie „come in", kiedy stukają do drzwi, że mały chłoptaś woła na tatusia „daddy".

Przeciwnie! Można na tle tych nieporozumień językowych osnuć świetny scenarjusz i już widzę, jak niezrównany Chaplin-włóczęga podróżuje po świecie, ludzie do niego mówią po czesku, po serbsku, po węgiersku, a on brnie przez ten galimatjas, rozumie wszystko źle, fałszywie, gada na migi, i wreszcie jakimś genjalnym, prostym chwytem, jakimś nieoczekiwanym gestem wydobywa wiekopomny melonik i giętką laseczkę ze straszliwej opresji.

Oczywiście — znów macie rację: są pewne braki i są jawne zgrzyty w tych pierwszych próbach. Ale... Głupstwo i niema o czem gadać!

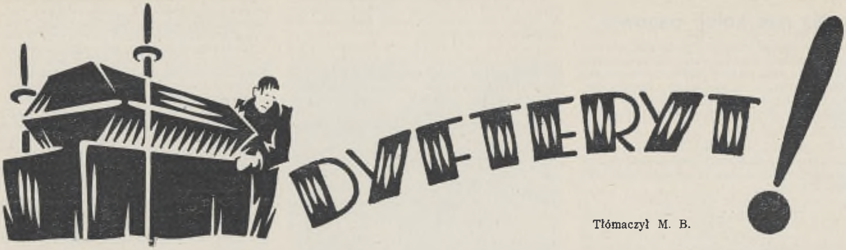
Genjalny technik otworzył okno na nowe, nieobjęte horyzonty. Apeluje do zdolnych ludzi na obu półkulach globu, oddaje żagiew przechodniowi, prosi o pomoc i współpracę. W naszych rękach są dalsze losy filmu akustycznego.

Możemy z tego zrobić fenomenalną bzdurę, albo wielkie dzieło.

Zamiast ględzić po knajpach i gazetach, weźcie się do pracy twórczej. Na nas kolej, panowie.

I Prometeusz niczby nie zdziałał, gdyby przyszedł na świat w smutnej krainie ślepców.

GLEB ALEKSIEJEW.



Tłómaczył M. B.

Przynieśli ją do nas w poniedziałek, — a wiecie przecież — w poniedziałki ledwie na nogach stoimy. A kto winien? Szczerze mówiąc, — miłość rodzicielska! Wiem, wiem — niema nic pod słońcem piękniejszego nad miłość rodzicielską, ale dla dzieci, w naszym baraku zakaźnym, — tysiąckroć gorsza jest od nienawiści. Według regulaminu szpitalnego, rodzice odwiedzają chorych raz na tydzień i cały tydzień dzieci cudownie się sprawują, nie kapryszą, nie krzyczą. W niedzielę złażą się do baraku rodzice: — łzawe, podejrzliwe matki, groźnie milczący ojcowie; potajemnie opychają dzieci ciasteczkami, karmelkami, iryskami; ukrywając się nawzajem, w podłutki sposób, wciskając nam półrublówki, żebyśmy się lepiej opiekowali właśnie ich dziećmi jakby wszyscy chorzy nie byli dla nas jednacy; obcałowują, ściskają, męczą dzieci swoje i kiedy, zaspokoiwszy już bezlitosną, bezwzględną miłość swoją, nareszcie odchodzą, — dzieci żegnają ich niesamowitym rykiem, a potem przez dwa dni nie można sobie z dziećmi dać rady: połowa ma podniesioną temperaturę, a na sali pisk, płacz — niczem na pogrzebie.

W takie dni porodzicielskie kręcę się, jak najęta, wszystkim zamieniam matkę i z zazdrości, że przy jednem łóżeczku zatrzymuję się dłużej, niż przy drugim, — dzieci drą się, kaszlą, beczą i rozgrzebane mrowisko to trudniej jest uspokoić, aniżeli samą ich chorobę. I oto pewnego razu, w taki płaczliwy dzień wzywa mnie ambulatoryjna siostra: — przynieśli dziewczynkę; dziewczynka ma dyfteryt i dusi się.

— Dobrze, — powiadam jej — zaraz ją przyjmę. Nie widziała pani Marji Aleksandrowny?

— Marja Aleksandrowna, — odpowiada mi— poszła na inspekcję, a w sali operacyjnej jest Zinaida Borysowna...

— Masz tobie; zresztą i tak trzeba będzie czekać na Marję Aleksandrownę... Sama pani widzi, jak mi się mój kurnik rozgęgał... Ani na chwilę nie pozwolą odejść...

Istotnie: ledwiem klamkę dotknęła, ze dwa tuziny aniołków ryknęło chórem, dusząc się z bezradnej, dziecięcej złości, ale poszłam do izby przyjęć, patrzę: stoi jakiś obdarty mężczyzna; bródka nędzna, rozczochrana, spodnie na kolanach wydęte, jak pęcherze, buciki wybielone w tłoku tramwajowym, pewnie jakiś urzędnik czy buchalter; na rękach ma dziecko w zatłuszczonej kołderce. Trzyma je niezgrabnie, ale jak my, kobiety, trzymamy chyba jedynie koty, jakgdyby się bał, że dziecko go ugryzie albo wyrwie mu się z rąk. Zdjęłam kołderkę i zbadałam dziecko. Gardło czerwone jak rak, zapuchnięte, nagłośnia ze dwa razy grubsza od normalnej, wiązadła pokryte ropnym nalotem, a szczelina głosowa zwężona jest, do tego stopnia, że grozi kompletne uduszenie. Zupełnie jasna sprawa: niezbędna jest intubacja, to jest trzeba wstawić w gardło rurkę, żeby się dziewczynka nie udusiła, a może i przecięcie przetoku tchawicy, — operacja bardzo poważna nawet w naszych czasach cudów medycyny. Tracheotomja — tak się nazywa ta operacja; jedna z trzech operacyj: uwięźnięta przepuklina, tracheotomja i skręt kiszek, których niema prawa odmówić żaden lekarz. Szybko zorjentowałam się w sytuacji: dziecko może żyć nie dłużej nad pół godziny, natychmiast zabrać je od ojca, znaleźć Marję Aleksandrownę.

— Proszę dać dziecko—zwracam się do ojca. A on jeszcze mocniej przycisnął do siebie charczący z duszności kłębek.

— Czego się pan boi? Przecież pan przyszedł do szpitala...

Ale on jakgdyby zastygł w rozpaczy swojej, przyciska do siebie dziecko, jakby nadziemską wartość jaką, że aż się we mnie poruszyło coś w rodzaju skruchy, że po naszym poniedziałkowym piekle złorzeczyłam rodzicom. A może naprawdę najbardziej wartościowe w człowieku jest właśnie to jego życie w innej istocie? Zabrać mu tę wartość — co pozostanie w nim, naprzykład, prócz wydętych na kolanach spodni i zaczłapanych w tłoku tramwajowym bucików? Podeszłam do niego bliżej, położyłam rękę na kołdrze, ale on podniósł na mnie oczy — zastygłe, szklące się, oczy człowieka, który w rozpaczy swej nic dokoła nie widzi.

— Ależ panie, co z panem? — powiadam. — Przecież my chcemy uratować pańską córeczkę. Czy to jedynaczka pańska?

— Jedynaczka!—kiwnął rozpaczliwie głową.

— A no więc, doskonale, że pan na czas jeszcze przyszedł... wstawimy jej do gardziołka rurkę... flegma zapchała jej gardziołko... słyszy pan, jak sapie?

I znowu, ledwiem wspomniała o rurce, żachnął się, jakby go kto pchnął. Na czoło wystąpił mu kroplisty, brudny, męczący pot, a oczy zbielały, jak sztucznie odbarwione. Dużom obserwowała rodziców. Matki rozpaczają okropnie — to prawda! Gotowe są wczepiać się nam w gardło, jakgdybyśmy wywołały chorobę ich dzieci. Ojcowie w większości wypadków milczą, czasami zachowują obojętność, czy dlatego, że uczucie ojcostwa u mężczyzn zjawia się później, kiedy w dziecku zaczyna się już wyczuwać indywidualne ludzkie oblicze, czy też dlatego, że dla mężczyzn dziecko nie jest jedynem ich zainteresowaniem na ziemi; ale ten oto, stojący w tej chwili obok mnie, zdradzał wszelkie narowy matki: nie ufał — jak matka, podnosił kołderkę — jak matka; to było i smutne bardzo i bardzo komiczne.

— Słuchajcie, — powiadam — panie drogi... W ten sposób pan zabija dziewczynkę swoją... Pół godziny życia jej pozostaje, jeśli natychmiast nie zrobić intubacji... Przecież pan nie jest wiejską babą!...

Zaczął dziwnie jakoś biegać, wkrąg, po ambulatorjum i kręcąc się tak drobnym maczkiem, starał się mnie omijać, stronił ode mnie, zataczając jakby koła — i nagle stanął jak wryty, wyciągnął do mnie dziecko:

— Bierz pani... proszę... niech pani wszystko bierze!...

— Nie ja biorę, — odpowiadam mu — wiedza ją panu zabiera, żeby jej życie uratować.

Wzięłam dziecko, a on — jakgdyby uwolnił się od najokropniejszego, niepomiernego ciężaru — odetchnął całą piersią i przymknął zmęczone oczy.

— Doskonale, — mówię mu — niech pan tu poczeka, zapali sobie papierosa... wszystko będzie jaknajlepiej...

— Dobrze, — odpowiada pokornie — zapalę sobie...

Tymczasem jaknajprędzej, żeby się nie rozmyślił, nie cofnął, odniosłam dziecko. Otwieram drzwi sali operacyjnej, a na progu stoi Zinaida Borysowna, ubrana w fartuch lekarski i gumowe rękawiczki.

— Tracheotomja? — pyta się.

— Nie, rurka — odpowiadam. Zrobiła władczy gest, jakby dając mi ruchem tym rozkaz. „Czyżby zamierzała zrobić intubację? — pomyślałam sobie. — Jakże się na to waży, jeśli dotychczas ani razu tego nie robiła?" Muszę państwu szczerze powiedzieć: nie miałam do niej zaufania. Była lekarzem młodym, ze trzy lata temu ukończyła studja, a u nas odbywała praktykę; uchodziła powszechnie za zdolnego, pewnego siebie, posiadającego poważny zasób wiedzy lekarza. Ale proszę mnie zrozumieć. Na moich oczach lekarz dostaje się do wnętrza gardła, widzę struny głosowe, a nad niemi nóż, którego jeden niefortunny ruch przypłaca się życiem! — w takich chwilach żywię niewymowny zachwyt, korzę się wobec pewnych siebie, magicznych rąk. Na fortepianie, naprzykład: można mieć cudowną technikę, a jednak — nie to, nie doznajemy wrażenia pięknej muzyki! A niektóre ręce poruszają się na klawiaturze może nie tak biegle, a jednak wydobywane przez nie dźwięki przenikają do samej duszy.

Obydwu lekarzy swoich wyczuwałam po ich rękach. Zinaida Borysowna miała mocne ręce zdrowej dziewczyny wiejskiej, szerokokościste; do okrucieństwa pewne najdrobniejszego ruchu. Brała naprzykład czasami płaczące dziecko, a dziecko natychmiast milknie, jakby nastraszone okrutną mocą jej rąk. Albo zdejmuje naloty w gardle — i to dość delikatnie, owszem, zdejmuje ściśle taką warstwę, jak należy, a jednak potem mimowoli wzdycham każdorazowo z ulgą: — no, dzięki Bogu, tym razem pomyślnie! Możliwe, że to właśnie skłaniało mnie do pewnej rezerwy wobec niej. Nie wyczuwałam w niej tego całkowitego, po uszy pochłaniającego oddania sprawie, jakiem odznaczała się Marja Aleksandrowna. Zinaida Borysowna nie spędzi na sali bez konkretnej potrzeby zbytecznej chwili, nie okaże zbytniego zainteresowania, nie przyjedzie, jak to czyni Marja Aleksandrowna, w nocy, żeby zajrzeć do ciężko chorego. Była surowsza, bez sentymentu, pacjentowi nie wydawała nic ponadto, co mu przepisano: przepisano jedno smarowanie — masz co ci się należy, przepisano dwa jajka — masz dwa, a o trzecie nie waż się prosić, bo to może być poczytywane nieledwie za obrazę — a to nic, że trzecie było na zbytku... I ani ci uśmiechu, najmniejszego żartu, żadnego pieszczotliwego słówka... Samozaparcia, patosu w sprawie naszej — ani na jotę! Dopatrywała się w naszej, przynoszącej ludzkości ulgę pracy, jedynie strony rzeczowej, obowiązku, który należy wykonywać uczciwie i nic więcej!

— Proszę się przygotować do operacji!—powiedziała mi Zinaida Borysowna.

— Posłałam już po Marję Aleksandrownę — odpowiedziałam. I podchodzę do stołu, żeby położyć dziewczynkę.

Sponsowiała po same uszy, ale oczy — jednakowo zimne, surowe i głos twardy, jak lancet.

— Niema czasu czekać, pani sama widzi... Zechce pani przygotować instrumenty....

— Dobrze, — odpowiadam i ruszyłam po bandaże, instrumenty, a ręce mi aż drżą, i — jak na złość nie mogę znaleźć to tego, to owego. A dziewczynka na stole zaczyna sinieć, widzę,

że niema chwili do stracenia. Ale co miałam począć, jeśli nie miałam do niej zaufania?

— Cóż to? Pani umyślnie przeciąga sprawę? — pyta się Zinaida Borysowna.

Skąd się u mnie wzięła w owej chwili taka odwaga? Może to stąd, że nie należałam do szczęśliwych: — swoich dzieci nie miałam, i do każdego odnosiłam się poniekąd jak do swojego własnego, słowem wyobrażiłam sobie: a co, gdyby tak moja córka zmagała się w śmiertelnej walce z życiem, a my prowadziłybyśmy ten nasz pojedynek, tylko nie ja jako ja, a ja — matka?... I znowu owe myśli moje o rodzicach wydały mi się okrutnemi i niesprawiedliwemi.

— Nie mam do pani zaufania! — odpowiedziałam.

— Ach, tak! — Aż krzyknęła i pochyliła się ku mnie tym mimowolnym specyficznym ruchem — całym biustem — jakim kobieta zawsze się posługuje w stosunku do obrażającego ją, kiedy brak jej słów. — Rozkazuję pani: natychmiast przygotować wszystko do operacji. Słyszy pani? W przeciwnym razie cała odpowiedzialność spadnie na panią!

Na rozkaz nie śmiałam odpowiadać. Obowiązkiem moim jest podporządkowywać się lekarzom. I pod tym względem — nie ja, a ona miała rację. Jeżeli każda siostra w tego rodzaju pracy, jak nasza (zresztą, w każdej pracy) zacznie się kierować wewnętrznem przekonaniem, co z tego wyniknie? Zresztą, nawet nie było co już czekać: — twarz dziecka była już koloru świątecznego prosiaka, a w ruchach specyficzna pokora — nie trzepie rączkami, wyprostowała się na stole, — a wiem już z doświadczenia, co oznacza taka pokora.

— Słucham! — odpowiedziałam i w jednej chwili wszystko przygotowałam.

A w piersi aż ogniem pali, uszy nie słyszą nic, prócz kroków: czy nie dadzą się słyszeć w korytarzu? — i raz nawet przesłyszałam się, rzuciłam się do drzwi, — ale to była pielęgniarka, która gdzieś szła...

O, jakże nienawidziłyśmy się nawzajem w owej chwili: ja i Zinaida Borysówna!... I co najciekawsze: ta Zinaida Borysowna była osobą najzupełniej sympatyczną; pociągała w niej tężyzna, dziwna pewność siebie, każdy ruch jej był jakby gospodarski, stateczny, i nie dlatego, że była lekarzem, że miała tę określoną pozycję, a z charakteru, z wrodzonego układu... Bo my, czterdziestorublowe, tyle tylko w życiu robimy, że przepychamy się przez życie, jak łokcie w tramwaju moskiewskim, — zapewne zauważyliście państwo: pasażerowie w tramwaju mają jakoś zawsze groźnie rozstawione łokcie? Czterdziestorublowym zarobkiem ratujemy się od głodu, pracą — od bezsensu i nudy, miłością bliźniego — od własnej pustki wewnętrznej, żądzą bohaterskiego czynu, na podobieństwo Marji Aleksandrowny, — od nicości ducha, by nie zejść ze świata bez najmniejszego śladu... Ona nic z tego wszystkiego nie posiadała. Najwidoczniej, nie miałam do niej zaufania dlatego, że ani swoich trosk, ani radości, ani zwątpień w niej nie wyczuwałam, dlatego że to samo, czemu myśmy służyły — Marja Aleksandrowna i ja — ona robiła z pobudek zgoła innych, w których człowiek jako taki nie odgrywał żadnej roli...

Przygotowałam dziewczynkę, naszykowałam instrumenty w takim porządku, w jakim potrzebne będą w czasie operacji i dopiero w chwili, kiedy podeszłam do stołu od prawej strony, gdzie właśnie powinnam się znajdować, odnalazłam niezbędny mi spokój: zazwyczaj przy operacji wzrok nabiera większej ostrości, ręce stają się wprawniejsze, a i sama zamieniam się w automat, którego ruchy obliczone są jak sekundy. Moją rzeczą jest: na czas podać instrument, na czas odebrać, podsunąć, skoordynować ruchy swoich rąk z ruchami rąk operatora tak by moje ręce uwijały się dokoła jego rąk, porozumiewały się z jego rękami, ale w żadnym razie nie dotykały ich: fatalnie jest, jeżeli w czasie operacji niezgrabna siostra dotyka się rąk lekarza.

— Jestem gotowa! — oświadczam jej spokojnie.

— To doskonale... — odpowiedziała Zinaida Borysowna i podeszła do stołu.

(Dokończenie na str. 20-ej).

Na obcym globie.

Niebawem nie wystarczy nam atlas Ziemi, gdy zechcemy ułożyć sobie marszrutę podróży na przyszłe wakacje. Ludzie o skromnych wymaganiach i małem zamiłowaniu emocji nadal będą oczywiście jeździli przez biegun północny do Ameryki, będą robili wycieczki do południowej Antarktydy, lub będą wybierali się na polowanie na tygrysy do Indji. Prawdziwi jednak sportsmani na tem nie poprzestaną.

Rozłożą przed sobą ogromne atlasy Księżyca Puiseux'a i Loevy'ego i zabiorą się do lektury najnowszego wydania międzyplanetarnego Baedeckera.

MARE IMBRIUM. Duża stosunkowo równa równina, powierzchni 900.000 kilometrów kwadratowych, mniejwięcej Polska i Francja razem. Ongiś dno morza. Tylko kilka gór pierścieniowych; Archimedes, Autolycus, Aristyllus, Timocharis, Lamberg i Pytheas przerywają jednostajny krajobraz. Na północy lśnią szczyty Alp księżycowych, na wschodzie Apeniny, a na południu Karpaty. Równinny pejzaż doskonale działa na ludzi o nerwach starganych, dla których pobyt wakacyjny w Mare Imbrium jest bardzo wskazany.

To nie dla nas, powiemy sobie. Mamy jeszcze nerwy zdrowe, chcemy emocji...

APENINY. Jeden z najwyższych łańcuchów górskich Księżyca, wciskający się pomiędzy Mare Vaporum, Mare Imbrium i Mare Serenitatis. Krajobraz dziki — strome ściany i szczyty i górskie sięgają do wysokości ponad 5000 metrów. Najwyższy szczyt Mons Huygens wysokości 6050 metrów. Wspaniały widok rozciąga się z wierzchołka tej góry. Ciemne wyrwy i przepaści oddzielają od siebie wąskie, jak igły, szczyty, a na północno-zachodniej stronie ściana skalna opada z kilkutysięcznej wysokości wprost do równin Mare Imbrium. Żadne ziemskie stroje górskie nie dają się porównać dzikością i ekscentrycznością kształtów z Apeninami księżycowemi, łączącemi na przestrzeni 600 kilometrów Karpaty z Kaukazem.

Warto jeszcze przy sposobności przeczytać ogólną notatkę o Księżycu międzyplanetarnego Baedeckera. Dowiemy się wtedy, że Księżyc jest od Ziemi oddalony tylko 380.000 kilometrów i że podróż do niego na rakiecie Obertha i Esnault-Pelteriego trwa tylko trzy do czterech dni.

Fraszka! Wszak nasi ojcowie niedawno jeszcze wlekli się kilka dni pocztową dryndą z Warszawy — do Grodna.

Ani na Księżycu, ani w przestrzeni wszechświata niema powietrza.

Nie wystarczy nam więc zwykły kostjum sportowy, „alpensztok", czy ciupaga i buty groźnie najeżone centymetrowej długości gwoździami; na księżycową wyprawę będziemy musieli zaopatrzyć się w specjalny mundur przestrzenny, coś w rodzaju nurkowego, zakrywający szczelnie wszystkie części ciała, na plecy zarzucimy sobie zbiorniki tlenu i — to już wszystko.

Księżyc jest kulą o średnicy 3476 kilometrów, czyli nieco większej od czwartej części średnicy Ziemi. Odpowiednio masa jego stanowi tylko 81 część masy Ziemi. Ze względu na małe rozmiary naszego satelity, przyciąganie jego jest znacznie mniejsze, aniżeli przyciąganie na powierzchni Ziemi. Gdybyśmy ciężar kilogramowy położyli na powierzchni księżyca na wadze sprężynowej, waga wskazywałaby tylko 170 gramów. Średniej budowy mężczyzna czułby się tam tak lekkim, jak niemowlę, a najgrubsze nawet grubaski umiałyby na srebrnym globie skakać „o tyczce" i bez tyczki lepiej, aniżeli najwięksi rekordziści w skakaniu na Ziemi.



Widok księżyca po pierwszej kwadrze.

Powietrze nasze, jak wiemy, chroni nas w dzień od zbyt ostrych promieni Słońca, a nocą otula nas, jakby ciepłą, puchową kołdrą, nie dopuszczając zbyt prędkiej utraty nabytego w ciągu dnia ciepła. Powierzchnia Księżyca zaś wystawiona jest w ciągu dnia na prażące działanie Słońca, a w nocy prędko traci wszelki ślad ciepła. Teoretyczne rozważania profesora Esnault-Pelterie, potwierdzone pomiarami Coblentza i Lamplanda, wykazują, że temperatura powierzchni Księżyca podnosi się w ciągu dnia do plus 115 stopni C., a nocą opada do — 244 stopni C. Są to wartości średnie, obliczone dla całej powierzchni Księżyca.

Te dziwne warunki cieplne na Księżycu nie zmniejszą oczywiście naszego turystycznego zapału, a zresztą tylko na pierwszy rzut oka wyglądają tak groźnie. Główna rzecz — należy wybrać się w księżycowy dzień, to jest wtedy, gdy Słońce nad daną okolicą świeci. Owa wysoka temperatura powierzchni nie dokuczy nam, gdy zaopatrzymy się w odpowiednie obuwie, a zapomocą rozsądnego doboru koloru i materjału przestrzennego munduru będzie można we wnętrzu naszego pancerza łatwo utrzymać temperaturę na plus 20 stopniach C.

Dr. F. Burdecki.



W jakich kostjumach należy wybierać się na księżyc.

MAURICE DEKOBRA.

W kraju Maharadżów

INDJE — KRAINA TAJEMNIC

Copyright Agence Littéraire Internationale Paris.

Patrząc na pierwszych kulisów cyngalijskich, biorących szturmem ledwo zakotwiczony *André Lebon*, jeden z najpiękniejszych statków Towarzystwa Okrętowego *Messageries Maritimes*, jąłem snuć tragiczne wspomnienia: Neuve-Chapelle, 1914 r.... Dywizje hinduskie z Lahory i Merutu bronią okopów między La Bassé a Estaires. Składają się na nie plemiona Baluczów, Patanów, Sikhsów i Gurkasów, ginących za pół rupji dziennie w błotach Flandrji, jako ofiara, składana wojnie, owej straszliwej Kali, bogini ludów wschodnich, której nie zaspakaja tylko jeden kozieł...

Widzę ich znowu, jak, drżąc z zimna, przechodzą obok naszych osiedli północnych, idąc w zalane wodą okopy bić się ze stoicyzmem *yogów*, nieczułych na nieszczęścia tego padołu i cierpienia fizyczne, rezygnując z nadziei śmierci nad brzegami Gangesu i z ceremonjału spalenia zwłok w mieście Benares o godzinie, gdy zachodzące słońce zaróżowi fale świętej rzeki...

Ale błękit nad szmaragdowym Ceylonem był tak czysty, a drzewa kokosowe, pnąc się ku niebu, wymachiwały, jak na powitanie tak lekko swemi palmami, że szybko wygnałem z pamięci ponure reminiscencje wojny i, otrząsając się ze wspomnień, wylądowałem na Rajskiej Wyspie.

* * *

Zdaję sobie dobrze sprawę z tego, że mówić o Indjach, wysiadając w Cejlonie, równa się niemal herezji. Bo Wyspa Roskoszy, gdzie niektóre kwiaty pożerają owady, jest tylko kolonją Królestwa Brytyjskiego; Indje natomiast posiadają samorząd z wice-królem na czele i ze specjalnem ministerstwem w Londynie. Lecz podróżnik europejski, przyjeżdżający do Colombo, zapomina o tych odcieniach; pragnąc w dżungli cyngalyjskiej widzieć jedynie rodzaj kwiecistego i zieleniącego się przedpokoju, roskoszuje się jej rajskim pejzażem zanim jeszcze przedrze się wgłąb Indyj i ulegnie ich urokowi tajemniczemu.

Tajemniczemu? Czyżby, mówiąc o Indjach, wolno było jeszcze mówić o ich misterjach? I czy Europejczyk, przybywający do tego kraju, może wyrobić sobie dokładny sąd o owym stugłowym i sturamiennym kolosie, który jest symbolem Hindostanu? Oto pytania, które mię dręczyły, gdy wracałem z świątyni Zęba Buddy w Khandy, gdzie mnich, udrapowany w żółty jedwab, pokazywał mi skrzynkę, zawierającą święte relikwje, lub dokładniej — krokodyli ząb, którym zastąpiono prawdziwy ząb boga, spalony uroczyście przez Portugalczyków około 1560 r. w Goa.

Zatrzymałem się w słynnym ogrodzie paradeńskim, gdzie pewien Cyngalyjczyk zwrócił mi uwagę na to, że na wiosnę bambusy, u stóp których siedziałem, pną się w górę z szybkością conajmniej trzydziestu centymetrów na dzień. To też dawni królowie Khandy uważali drzewa te za instrumenty najokrutniejszych tortur. Skazańca przymocowywano w odpowiedni sposób do pnia drzewa, które, rosnąc, rozszarpywało powoli jego ciało.

Duże nietoperze kołowały między palmami. Kwitnące akacje rzucały jakby szkarłatne ognie sztuczne. Park był cichy i wzywał do kontemplacji. Zacząłem więc myśleć o polemice, jaka się wywiązała niedawno między Miss Katherine Mayo, autorką książki „Mother India", a p. Ranga Iyer, autorem książki p. t. „Father India" i członkiem indyjskiej Izby Prawodawczej; polemikę tę śledzili zresztą wszyscy Hindusi z prawdziwą namiętnością.

Miss Mayo opisała we wspomnianej książce swoje wrażenia z podróży. Miss Mayo naszkicowała, bez specjalnej zresztą życzliwości, obyczaje hinduskie. Miss Mayo opowiedziała wreszcie o kastach i o chorobach wenerycznych, o fanatyzmie religijnym i jego rozwięzłości, o życiu kobiet zamkniętych w *purdahach*, i o życiu kobiet bramańskich, zamkniętych w *zenanach*.



Widok ze świątyni „Zęba Buddy" w Khandy na Cejlonie.
(Ze zbiorów prywatnych p. Kurylly).

I pesymizmem swym zrewoltowała wszystkich kulturalnych Hindusów.

* * *

Po lekturze obydwóch książek doszedłem do wniosku, że nie łatwą jest sprawą wyrobić sobie sąd o obyczajach tak skomplikowanego kraju. Kraju? Należałoby raczej mówić o kontynencie. Hindusów? Należałoby powiedzieć: Bengalów, Pendżabów, Drawidów, Parsysów, Mahratów, Sikhsów, Malabrów, i t. d., i t. d. Istnieje w Indjach 500.000 miast i miasteczek. Istnieje 2.000 rozmaitych kast. Istnieje 50.000 sekt religijnych. Jakżeż zbadać je do głębi? Stuletnie życie nie wystarczyłoby chyba.

...Prowadzę was oto w dziwną krainę, gdzie dla Europejczyka wszystko jest przedmiotem obserwacji i zarazem niespodzianką...

Pewnego dnia, będąc w Południowych Indjach, przeszedłem, na moje nieszczęście, obok hangaru, gdzie była kuchnia *Rest House'u*, w którym mieszkałem. Zauważyłem tam Hindusa, który, żując swój betel, smażył *toast'y*, trzymając je zapomocą kciuka i drugiego palca swej wzdłuż ognia wyciągniętej nogi. Już chciałem zaprotestować, gdy nagle Hindus wziął widelec i, zgiąwszy kolano, przekłuł nim swój świeżo usmażony *toast*, poczem podał mi go z grzecznym *salam*. Byłem rozbrojony.

* * *

Nie chciałbym urazić p. Iyer, twierdząc, że kuchmistrze w Indjach są brudni. Mógłby mi równie dobrze odpowiedzieć, że w dymiących cieniach kuchni widział takich brudasów także i w Europie. Poza tem, czy czystość nie jest pojęciem bardzo względnem? Człowiek Wschodu nie pojmuje, jak można sobie wytrzeć nos za pomocą chusteczki. Hindus nie może zrozumieć, że nosimy nasze koszule w spodniach, a nie na zewnątrz, jak marynarkę.

To samo tyczy się również i licznych religij Hindostanu. Pewnej starszej angielskiej damie, znajdującej się przejazdem w Bombayu, opowiadano cuda o piękności kultu plemienia *parsi*. Otóż dama ta, pijąc herbatkę w ogrodzie jednej z will, niedaleko Wieży Milczenia, gdzie, jak wiadomo, ciała zmarłych wystawiane są na łup drapieżnych ptaków, ujrzała nagle oko jednego ze zmarłych, które krążący nad ogrodem sęp upuścił tuż obok niej. Możecie sobie wyobrazić, jakie ta Angielka wyniosła stamtąd mniemanie o religji Zaroastry!

Co do mnie, to w domach, zamieszkałych przez *parsi*, widziałem pokoje, przeznaczone wyłącznie na obrządki religijne i kult zmarłych. Przez osiemnaście dni w roku najmłodsza córka domu umieszcza na stole pewną, od ilości zmarłych zależną ilość waz, które codzień rano napełnia białemi i czerwonemi kwiatami. Czy tego rodzaju dowody wzruszającego pietyzmu nie tworzą ciekawego kontrastu z ponurym ceremonjałem pogrzebowym, w którym biorą udział — sępy?

* * *

Uchwycić między Gaurizankarem a przylądkiem Komorin prawdę jest sprawą nie łatwą. Istnieje bowiem na świecie mało krajów, gdzie kontrasty byłyby aż tak widoczne. Oko podróżnika jest olśnione. Jego logika — zachwiana. A gdy, patrząc na otaczający go świat, upiera się i obserwuje, aby lepiej wszystko zrozumieć, okazuje się, że im więcej obserwuje, tem mniej rozumie.

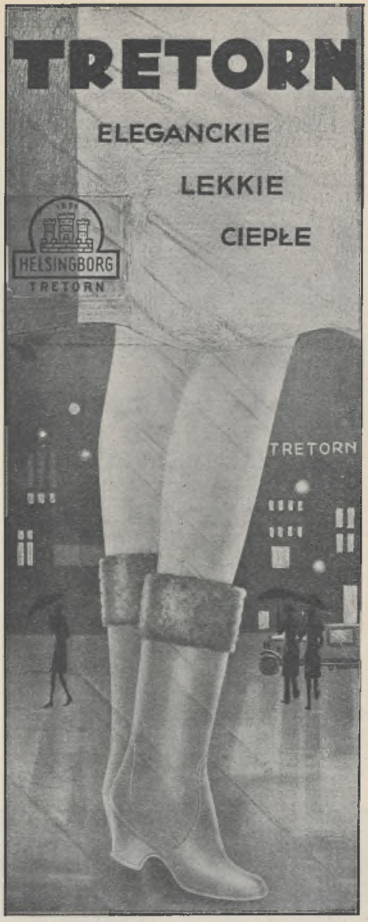
Bo Indje, to kraj krańcowych rozbieżności Z jednej strony są parjasi, wyzuci z wszelkich praw, wyrzutki społeczeństwa, żywiący się jedynie jego cieniem, — z drugiej jest kasta maharadżów o fantastycznych bogactwach i omal nieograniczonej władzy; z jednej strony jest biedna analfabetyczna ludność, wiodąca w prymitywnych chałupkach żywot roboczego bydła, z drugiej znów strony — kobiety tak godne podziwu, jak pani Saradżini Naidu, przewodnicząca kongresu panindyjskiego, która zalety serca łączy z wyjątkową wprost inteligencją.

Indje — to prawdopodobnie kraj, w którym Europejczyk odnosi najbardziej rozbieżne wrażenia, wiodące od podziwu do wstrętu, od wzniosłości do groteski. Pielgrzym, spijający wodę Gangesu, w którym spoczywają szczątki źle spalonych zwłok, budzi w nas odrazę. Ale szlachetność uczuć i wielkodusznść Gandhi'ego, — do którego powrócimy jeszcze później, by omówić polityczne wartości jego posłannictwa, — zmuszają nas do szacunku. Podobnie jak Europejczyk, chcący przedostać się z wybrzeży Koromandelu do Kaszmiru, musi przejść ze strefy gwałtownych upałów do klimatu o ścinającem zimnie, tak, żyjąc w Indjach, przechodzi przez wszystkie gamy od entuzjazmu do rozczarowania. Powiodę więc was do tego dziwnego kraju, gdzie konserwatyści cywilizacji, liczącej cztery tysiące lat, patrzą na przejeżdżającą ośmio-cylindrówkę, w której siedzi *nabab*, ubrany przez krawca z Bond-Street. Lecz w przeciwieństwie do miłego zwyczaju mych bengalskich przyjaciół, którzy dają swym gościom *shandesh'y* i inne słodycze, mówiąc: „Zanim pan opuści mój próg, proszę zrobić mi tę łaskę i osłodzić sobie usta", — pragnąłbym nakłonić was, abyście, zanim wstąpimy do Cesarstwa Indyjskiego, nakłonili swe wargi i wraz ze mną zwrócili się w modlitwie do Sarasvati, bogini Wiedzy, o łaskę.

(C. d. n.).




MASQUE
ROUGE
le grand
parfum
à la mode
poudre
ROUGE
REDOUTE
rouge à lèvre
non-nocif.
marcel guerlain
PARIS
Jen. Przedst. na Polskę:
SCHORR & Cie
Lwów, Plac Bernardyński 15.


TRETORN
ELEGANCKIE
LEKKIE
CIEPŁE
HELSINGBORG
TRETORN
TRETORN

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

MARZENIE O CISZY

Kilka słów o filmie dźwiękowym.

Cisza srebrnego ekranu została brutalnie przerwana!

Usta, milczące dotychczas, odzyskały nagle mowę, stały się odrazu wielomówne, stały się gadatliwe.

Zmieniło się wszystko!

Dawniej w scenie miłosnej bohater ekranu nie mówił nic, a jednak przez wszystkich był świetnie rozumiany. Wyciągał ręce ku ukochanej namiętnym gestem, spoglądał czułym wzrokiem, który przemawiał wyraźniej niż płomienne oświadczyny, wreszcie chwytał kobietę w objęcia i całował gorąco.

To wystarczało.

Niekiedy tylko przed oczyma widza przechodził krótki napis, złożony z dwóch, trzech słów:

„Kocham cię“!

lub

„Kocham cię szalenie“!

Teraz zmieniło się wszystko.

Bohater nie patrzy namiętnie, nie wyciąga rąk, zajęty jest, zaabsorbowany całkowicie swoim głosem, który wyolbrzymiony, zgrubiały, grzmiący nosowymi tonami, wydobywa się z jego krtani.

Zamiast oczu widzimy teraz w zbliżeniu rozwarte usta, pracowicie skandujące każdą zgłoskę, widzimy zęby, język i nieomal migdały w gardle amanta.

Kocham cię! — mówi bohater dudniącym głosem i aby wykazać publiczności, w pełni, cudowne możliwości nowego wynalazku, dodaje jeszcze wiele słów gęstym, hucznym basem.

— Kocham cię najdroższa — mówi — podaruj mi swoją miłość, a będzie nam dobrze ze sobą, będziemy bardzo szczęśliwi. Nie robię długów, kupię mieszkanko z gazową kuchenką, a dziecko nasze będzie piło co rano tran na śniadanie. Miłość jest bezwątpienia piękną rzeczą... i t. p., i t. p.

W tym mniej więcej tonie przemawia bohater przez dobry kwadrans, co w filmie niemym wystarczyłoby całkowicie, aby się oświadczył, ożenił i rozwiódł.

Lecz bohater filmu dźwiękowego nie taki! Nie śpieszy mu się wcale. Nie interesuje go tempo, wymagania montażu, nastrój filmu, obchodzi go tylko ów niezwykły wynalazek, pozwalający, by słowa, wymawiane przez niego przedarły się przez ekran i zabrzmiały na widowni.

Mówi więc, upaja się własnym głosem, wymawianemi słowami, niezwykłą dykcją. Mówi, a bohaterka stoi pokornie obok niego i posłusznie słucha.

Zdawaćby się mogło, że przerażona tym głosem niesamowitym, chrapliwym i ogłuszającym, potrząśnie za chwilkę, przecząco głową i ucieknie raz na zawsze od bohatera i od miłości, wyrażanej takim głosem i takiemi słowami.

Lecz nie, nadzieje nasze nie ziszczają się wcale! Bohaterka nie obawia się!

Jest widocznie bardzo odważna pomimo, że posiada filigranową postać i nieśmiały uśmiech na drobnej twarzy.

Jej małe usta rozchylają się trochę. Zapewne szepnie coś cicho słodkim głosem i pochyli głowę na jego ramię.

Głowę pochyla rzeczywiście, lecz głos, który wydobywa się z ust tej powiewnej istoty jest tak samo gruby, tak samo nosowy i tak samo dudniący jak głos bohatera i przystoi raczej tęgiemu brzuchomówcy, niż młodej, drobnej dziewczynie.

Tym oto głosem odpowiada bohaterka długo i rozwlekle, w ten mniej więcej sposób:

— Dobrze, Johnie. Wyjdę za ciebie za mąż, bo jesteś uczciwym człowiekiem. Będę ci dobrą żoną, chętnie wyreperuję ci bieliznę, gdy tego zajdzie potrzeba, a i kuchni dopatrzę także. Nie jestem wcale rozrzutna. Już dawno cię pokochałam: Masz takie dobre, szare oczy i takie silne ręce. Myślałam sobie zawsze... i t. d. i t. d.

Wszystko zostało odtworzone: szelest kroków i pukanie do drzwi i dźwięk telefonu, huk strzału i brzęk noży.

Zmącono ciszę ekranu!

Wprawdzie osoby podrzędne w każdym niemal filmie dźwiękowym, słuchają tylko tego, co mówią osoby główne, wprawdzie one nadal porozumiewają się „na cicho“, ich kroki są wciąż bezszelestne, ich noże nie brzęczą, mimo to zamęt czyniony przez bohaterów wystarcza całkowicie.

W nadprogramach demonstrowanych obecnie na całym świecie jako dodatek do filmów dźwiękowych, pokazywane są urywki z oper. Ta opera sfotografowana ukazała nam wszystkie swoje śmiesznostki, w teatrze niwelowane częściowo przez odległość, a w kinie podkreślone każdem zbliżeniem.

Ujrzeliśmy więc w jednym z takich nadprogramów grubego, starego dryblasa, jak wielkim głosem wykrzykiwał żałośnie:

— Mamma! Mamma!

— Mamma! Mamma! — i pokornie poddawał się głośno dźwięczącym policzkom, któremi go obdarzał jego partner, jakiś inny nie mniej komiczny, śpiewający drągal.

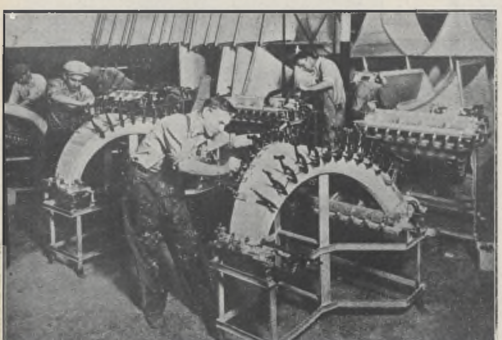
Zmieszano w amerykańskim moździeżu i ubito społem gramofon, kino, operę, teatr i kabaret i tak kunsztownie przyrządzony preparat podano nam w postaci filmu dźwiękowego.

Nic więc dziwnego, że w filmie dźwiękowym słyszymy jednocześnie słowa i śpiew bohatera, widzimy go żonglującego nożami, tańczącego kozaka, klaszczącego w ręce. Sumiennie wykonywa wszystko, co jego wytwórcy wydaje się godną trudów atrakcją.

Niestety, każda atrakcja nuży jednak po jakimś czasie.

To też w Ameryce z dniem każdym coraz więcej widzów ucieka od ciągłego gwaru i szuka schronienia w kinoteatrach, opatrzonych krótkim napisem:

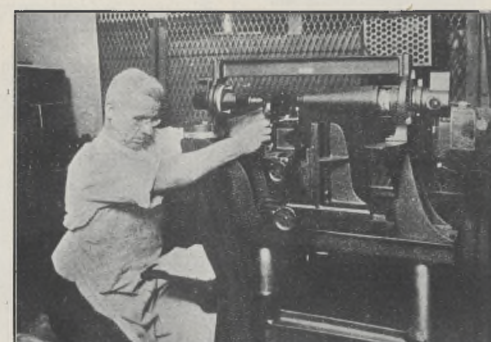
„U nas cisza!“.



Wynalazek filmu dźwiękowego wywołał olbrzymi przewrót w kinematografji. Firmy, jak Western Electric Co, musiały wydatnie zwiększyć personel, celem wykonania obstalunków, które napływają z całego świata.



Nowe filmy — nowi ludzie... Dzięki filmowi dźwiękowemu wiele dotychczasowych gwiazd straci swe szanse, ustępując miejsca nowym talentom. Na ilustracji naszej widzimy znanych artystów wytw. Foxa, Sue Carol i Dawida Rollingsa, którzy odkryli w sobie zdolności śpiewacze, świetnego komika murzyńskiego, Stepina Fetchita (wszyscy występują w olbrzymiej rewji Fox-Foltes) i artystę Paramountu, Richarda Arlena, uchwyconego podczas nagrywania dźwiękowca.



Dzięki zrealizowaniu wynalazku filmu dźwiękowego firmy kinematograficzne musiały inwestować w ciągu ostatnich 8 miesięcy 24 milj. dol. celem zaprowadzenia nowej aparatury. Film dźwiękowy wywołał, oczywista, ożywioną dyskusję w całym świecie

STEFAN ŁOŚ

W samo czoło...



Typowy domek kolonistów w Górach Nadziei (Serra Esperanza).

Każdy..., no, prawie każdy Polak, umiejący się jako tako wysłowić w piśmie, skoro tylko przewietrzy się conieco po świecie, oczywiście już jest podróżnikiem, nierzadko „naszym sławnym", no i musi, powtarzam: *musi* napisać conajmniej jedną książkę, pełną przygód i niezwykłych wydarzeń.

Przytem, według opinji naszych rodaków z za oceanu, polscy podróżnicy są specjalnie przez los i przyrodę uprzywilejowani — na brak wrażeń uskarżać się taki pan nigdy nie będzie.

I tak: co krok staje mu na drodze tygrys, unikający zazwyczaj zwykłego śmiertelnika; w nocy lwy, rycząc i machając ogonami, krążą ustawicznie koło namiotu; nawet mała małpka nie daje mu przejść spokojnie, tylko rznie go w głowę szyszką pinjora (nawiasem dodaję, że szyszka taka waży przeciętnie kilka kilo).

Nie trzeba dodawać, że w każdej „wendzie" (karczma brazylijska) czeka podróżnika awantura i wszelkie najciemniejsze typy strzelają na wyścigi do cudzoziemca, który... — pada martwy! — domyśla się czytelnik.



Konsul Kazimierz Downarowicz i Stefan hr. Łoś przed polowaniem.

Nie!!! skąd znowu? a któżby napisał podróżniczą książkę?

Cudzoziemiec wraca jaknajzdrowszy do kraju i pisze... pisze... pisze — dla rodaków.

Na eksport „takie coś" się oczywiście nie nadaje. Anglika na plewy nie weźmiesz — za dużo się po różnych morzach i lądach włóczy... Inna rzecz, że mamy też polskie książki podróżnicze naprawdę wartościowe.

Zatem recepta na podróżnika: należy wyjechać byle gdzie, wrócić i napisać conajmniej parę książek... sława pewna! Pierwsze i drugie, nie chwaląc się, zrobiłem. Trzecie... zrobię! już mam niezwykle dźwięczny tytuł i świetny urywek, który przytaczam: „...na nieustraszonego podróżnika ze wszech stron czyhają niebezpieczeństwa: tu pełznie wąż jadowity,? lub kilkudziesięciometrowy boa...

Nawet ulicą największego miasta nie można przejść spokojnie, bo pożre cię jeszcze tygrys, zapuszczający się w najludniejsze nawet dzielnice.

A po szerokich alejach, ocienionych palmami, przechadzają się malowniczo ubrani tubylcy, strzelając do siebie z rewolwerów dla przyjemności..."

Książka ta będzie niezmiernie interesująca; ponieważ jednak w tej chwili piszę feljeton, a nie książkę, będzie musiał on wyglądać bardziej blado.

Bardzo za to przepraszam!

Nasz świetny poeta-myśliwy Juljan Eysmond tak wspaniale opisuje polowania na zające, cietrzewie i, bodaj że łosie... (teraz na łosie czas ochronny, więc się go nie boję i chadzam nawet koło jego domostwa dumny i nietykalny, jak jaki poseł).

Dlaczego zatem nie opisać polowania... na tygrysy!

Ile ich zabiłem?

Hm, w książce będę musiał napisać, że... ile to? aha! — trzynaście! ale w feljetonie mogę się przyznać, że tylko... ani jednego!

Ale widziałem, jak się to robi, a to chyba ważniejsze!

* * *

W Górach Nadziei był wielki gwałt. Coraz na porterach *), gdzie się konie nocami pasły, znajdowano trupa niedojedzonego „marchadora" **).

Ani chybi — *tigre!*

Zaczaić się? — nie przyjdzie, węch ma dobry, człowieka unika, chyba że już krwi ludzkiej skosztował wtedyby ciągle krążył koło siedzib ludzkich.

Polować samemu — niemożliwe, toć puszcza brazylijska — to nie lasek rzadki, ale zbita, splątana gęstwa drzew i krzewów, osznurowana ljanami, poważnej nieraz grubości...

Zeszły się wkońcu dalsze i bliższe sąsiady i ssąc szimarou ***) uradziły, że trzeba polowanie urządzić wspólnemi siłami.

Tropiono zwierza, wreszcie wiedząc, gdzie jest, ruszono rankiem ze sforą psów, które w pewnym momencie puszczono w las. Inaczej polować nie można. Tygrysa w lesie nie zdybiesz, na drogę ci nie wyjdzie, a przez las trzeba sobie ścieżki fakonem *) wycinać, postępując wolno, wolniuteńko...

Słońce zaraz po wschodzie wystrzeliło wysoko na niebo, a żre już w plecy, że trudno wytrzymać.

Pieski wpadły w gąszcz i zginęły bez śladu. Jeszcze jakiś czas słychać było szurgotanie wśród ljan i krzewów, potem nic... a jeszcze potem zaczął się koncert.

Szczeknął jeden długo i przeciągle, zawtórował mu drugi, trzeci... całą gamą psiego chóru.

Mają go!

Fakony żywiej pracują, niecierpliwiej tną poplątane węzły ljan...

— Hau, hau, hau... głosy psie oddalają się, choć myśliwi posuwają się coraz szybciej.

Ujadanie milknie, to znów się wzmaga.

Gonią go! Już...!! żałosny jęk przedziera się przez zarośla... biedny psiak!

O! drugi...

Reszta podrażniona krwią ujada i ujada, z zaciekłością rzucając się na zwierza...

Widzi się to... w wyobraźni, przez gęstwę dochodzą jeno odgłosy walki — nic nie widać, ale walka toczy się coraz zaciętsza, co chwilę powietrze przerywa bolesny jęk... znów jakiś psiak, biedactwo!

Już... już... szczekanie przechodzi w jakiś piekielny jazgot, naraz...

trrach! trrach! i jeszcze raz trrach!

Rozbójnik leśny leży na ziemi. Nie mógł dać rady psom, musiał się schronić na pochyły pień jakiejś olbrzymiej imbui i stamtąd oganiał się wściekłej zgrai przerzedzonej zresztą dobrze... Aż nareszcie przedarli się myśliwi...

Krótko się to pisało — trochę dłużej trwało w rzeczywistości...



Koloniści wybierają się na łowy w Góry Nadziei.

* * *

Oczywiście fotografowałem się dumnie na tygrysie, przy tygrysie i pod... to jest... obok tygrysa.

Fotografij przez wrodzoną skromność nie pokazuję...

Ale, doprawdy, co to był za strzał!!!

Pomyślcie: ja na tygrysa — tygrys na mnie! ja go na muszkę i... w samo czoło!

Nie wierzycie? Mam świadków!

Gdzie?!!

. . . .

...zostali w Brazylji...



Olbrzymi tygrys, który w Górach Nadziei (Serra Esperanza) czynił wielkie spustoszenia w kolonjach polskich. Po zabiciu skóra bez ogona miała 2 m. 5 cm. dł.

*) Portera — kawał zagrodzonego pastwiska.
**) Marchador — specjalny gatunek konia brazylijskiego, używanego do dalszej drogi.
***) Odwar z herwy matte.

*) Nóż do wycinania ścieżki t. zw. — pikady.

Kobieta — a chemja XX wieku.

Rozmiłowana w estetyce i kulturze ciała, walczy kobieta już dawno z każdym brakiem i niedokładnością swej urody. Na każdą niemal usterkę znalazł się sposób, który skutecznie prowadzi do tego, by uczynić kobietę prawdziwie piękną. Do walki ze zbytecznem ogłoszeniem służyła nam dotychczas brzytwa lub maszynka. Stwarzało to jednak wiele trudu, zmuszało do krępującego uciekania się do pomocy osób drugich, narażało na skaleczenie, a nawet infekcję. A przytem rezultatu nieosiągnięto, bowiem włosy wyrastały znów twardsze i gęściejsze. I na tę bolączkę — szpecące owłosienie — znalazły sposób nauka i chemja: z trudem i wysiłkiem spreparowano radykalny krem *„Femy"*, który natychmiast po nasmarowaniu cienką warstwą, w ciągu kilku minut usuwa niepotrzebne włosy, niewywołując zaczerwienienia ani swędzenia skóry.

Krem *„Femy"* zyskał największe uznanie nauki i jest zalecany, jako najlepszy środek przeciw owłosieniu.

OBRAZKI Z SĄDÓW

DOLA OBROŃCY

Oczywiście — nie każdego obrońcy. Nie lwa sali sądowej, któremu dość usta otworzyć, by filary zadrżały, prokurator zrzekł się oskarżenia, a sędziowie podpisali wyrok uniewinniający. Nie zasobnego w wiedzę, praktykę i klientelę mecenasa, ale młodego, zapalonego aplikanta, często sądowego, który, stając z urzędu, po raz pierwszy, drugi czy trzeci, próbuje swych sił w obronie oskarżonego.

Oto naprzykład:

Sąd okręgowy.

Na ławie oskarżonych zasiada taki brodaty anioł z galerji Lombrosa, oskarżony o drobnostkę: kradzież z włamaniem. Karany był siedem razy. To wcale nie znaczy, że tylko siedem razy kradł. Tyle razy mu się „noga powinęła". Teraz — ósmy. Ale tym razem jest niewinny. Tak przynajmniej twierdził na śledztwie. Prosił o obrońcę z urzędu. Różowiutki obrońca wygląda, jak pacholę na tle brodatego draba.

— Więc oskarżony nie przyznaje się do winy — pyta przewodniczący, uśmiechając się pod wąsem (przypomina sobie dobrze tego stałego klijenta sądu).

— Niech Pan Bóg broni, proszę Najwyższego Sądu. Ja niewinnie siedziałem do sprawy. To wszystko, co tam (w akcie oskarżenia) napisane — to nieprawda. Tak, dawniej, to mi się tak coś czasem i przytrafiło, ale jakem ostatni raz wyszedł z więzienia, to już ani, ani... Dostałem pracę, zarabiałem, a żebym się tam jakiemi kradzieżami zajmował, to nigdy w życiu... Niewinnie mnie posądzili, proszę Sądu Najwyższego — kończy z patosem swoją oracją męczennik i z godnością siada na ławie oskarżonych.

— Panie woźny, proszę wprowadzić świadków!

Postępowanie dowodowe. Badanie świadków. Tu dopiero zaczyna się rola obrońcy. Pytanie za pytaniem. Ze świadków już ścieka pot strumieniami. Przewodniczący rozumie ciężką sytuację obrońcy i pozwala na zadawanie najdziwaczniejszych nawet pytań. Wreszcie koniec postępowania dowodowego i głosy stron.

Podczas całego przemówienia obrońcy „niewiniątko" na ławie oskarżonych zdaje się być pogrążone w myślach. Co parę chwil spoziera na sędziów, starając się odgadnąć, jakie wrażenie wywiera na nich mowa obrończa, wreszcie zaczyna się kręcić niespokojnie.

— Co ma do powiedzenia oskarżony w ostatnim słowie?

Aplikant siada, wyciera spocone czoło, jest czerwony, zmęczony ale zadowolony z siebie. Bo rzeczywiście, przemówienie było doskonałe. Zebrał skrzętnie wszystko, co mogło podważyć oskarżenie, niekorzystne dla oskarżonego zeznania świadków, komentował dowcipnie, osłabiając ich wiarygodność, wreszcie zakończył lirycznym zwrotem o ciężkim losie człowieka, który po wyjściu z więzienia ciągle nosi na sobie podejrzenia i przy lada okazji pociągany jest niewinnie do sądu.

— Więc oskarżony nie życzy sobie zabrać głosu? — pyta powtórnie przewodniczący.

Chwila wahania, wreszcie: — Proszę sądu najwyższego... ja się przyznaję. Tak było wszystko, jak to tam napisane. Ale ja już więcej kraść nie będę „Proszę o łagodną karę..

Spryciarz. „Zrobił skruchę", bo się zorjentował, że lepiej na tem wyjdzie.

I na ogół taki opryszek-recydywista orjentuje się dobrze w kodeksie, tej „Wielkiej karcie wolności przestępcy", poznał z praktyki procedurę, a co najważniejsza zna psychologję sędziów. Wie, że jeśli się przyzna i nie będzie męczył sądu długiemi wywodami, to z reguły kara będzie złagodzona. I te łagodzenia kary odbywają się prawie automatycznie, bez wnikania w szczegóły, szablonowo.

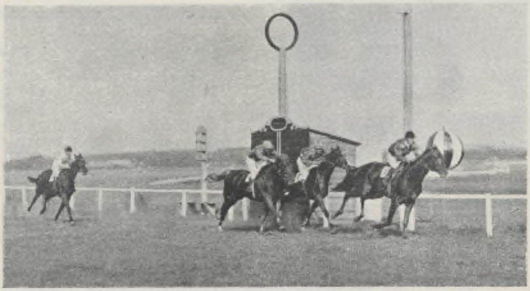
Oczywiście, różne są punkty wyjścia dla sądu i dla przestępcy.

Sąd przyjmuje dla przyznania się szablon skruchy, przestępca — szablon nierobienia trudności sądowi. I rzeczywiście, najlepiej na tem wychodzi.

W wyżej przytoczonym wypadku sprawa miała się nieco inaczej.

Oskarżony zaryzykował. A może jednak się uda tym razem? Po całym przewodzie sądowym zrozumiał, że niema na co liczyć i... przyznał się. Dobrze na tem wyszedł, ale... ciężka jest dola obrońcy... *I. E.*

ROZRYWKI UMYSŁOWE



Cztery konie uczestniczą w wyścigu i wszystkie przychodzą do mety. W jakim kolejnym porządku mogą one minąć celownik? Należy obliczyć ilość możliwych wyników biegu. Konie oznaczamy liczbami 1, 2, 3, 4.

NAGRODY.

Za rozwiązanie „zadania wyścigowego" przeznaczamy do rozlosowania 5 nagród w postaci książek beletrystycznych. Termin nadsyłania rozwiązań upływa dn. 11 grudnia.

MATCH O MISTRZOSTWO ŚWIATA.

Po 25 partjach zakończył się match Alechin—Bogolubow. Alechin wygrał 11 partji, Bogolubow 5, nierozegranych było 9. Bogolubow osiągnął wysoce zaszczytny wynik. Jednakże przewaga Alechina nie ulega wątpliwości. Jedynym szachistą, który obecnie mógłby się odważyć na match o mistrzostwo świata jest Capablanca, gdyż Lasker prawdopodobnie nie będzie już występował czynnie w turniejach i matchach, zaś Nimcowicz zapewne nie miałby żadnych szans wygrania z Alechinem.



Edison — Meksykański kreol

Jedno z pism meksykańskich, „El Universal Grafico", wydobyło niedawno z archiwów parafji Lagos Noreno, małej osady przemysłowej, w stanie Jalisco, metrykę urodzenia Tomasza Alvy, którym nie jest nikt inny, jak sławny wynalazca, Edison. Jednocześnie w Meksyku i innych miastach pojawiają się wszyscy potomkowie rodziny, która, osiadłszy na drodze handlowej i emigracyjnej Stanów Zjednoczonych, rozproszyła się zwolna po całej Ameryce Północnej. Odbywało się to około roku 1847, to znaczy w roku urodzin Tomasza Edisona i wojny Stanów Zjednoczonych z Meksykiem, w czasie której Meksyk utracił połowę swego terytorjum, które Hiszpanie nazwali Nueva Espana.

Będąc przekupniem wędrownym na wzór tych, którzy chodzą po jarmarkach jednej z najbardziej malowniczych okolic meksykańskich, El Bajio, ojciec Edisona, don Antonio Alva odbywał częste podróże do Stanów Zjednoczonych, by się tam zaopatrzyć w artykuły mody, stanowiące główny jego przedmiot handlu. Z pierwszego małżeństwa urodziło mu się troje dzieci: Caledonio, Luiz i Tomasz. Żenił się trzy razy i nie brak takich, którzy twierdzą, że wpędził do grobu swoją pierwszą żonę, która umarła z melancholji, osamotniona w starym ranchu. Inna kobieta owładnęła sercem don Antonia, ale tych trojga dzieci przywiązać do siebie nie potrafiła.

Prawdopodobnie z tego powodu postanowił don Antonio zabrać swego najmłodszego syna, mającego wówczas pięć lat, do Stanów Zjednoczonych, poprzez kraj nawpół dziki i nastręczający pole do awanturniczych przygód, o których marzą młodzi chłopcy. Podczas tej podróży zawarli znajomość z pewnym Amerykaninem, który miał wielkie zamiłowanie do nauk przyrodniczych, a który, znudzony swemi badaniami, niedającemi wyniku, a z drugiej strony pociągnięty nad wiek rozwiniętą i żywą inteligencją małego Tomasza, zaadoptował go i zapewnił mu wykształcenie.

Ta wersja o pochodzeniu Edisona rozpowszechniła się wszędzie tam, gdzie znana jest rodzina albo choćby nazwisko Alva; w takich naprzykład okolicach, jak Zacatecas, Zalisco, Cuanajuato, a nawet Meksyku. Pewna dziennikarka amerykańska, Miss Maud E. Moode z Austin (Texas), która zapewnia, że znała braci i ciotki Tomasza Edisona, utrzymuje, że chłopiec wrócił z ojcem ze Stanów Zjednoczonych, ale już czuł się obco i ani jarmarki, ani spokojne życie Lagos nie pociągały go.

Pewnego pięknego poranku opuścił dom rodzicielski, by już na zawsze osiąść w Stanach Zjednoczonych u boku swego protektora.

Edison należy więc do wielkiej rodziny emigrantów meksykańskich, których jest ze dwa miljony w miastach, jak Los Angelos i New York i którzy nie negują swego pochodzenia nawet, gdy się im powiedzie. Edison nie neguje, ani nie wstydzi się swego pochodzenia również.

Panna Adelina Cair Alva, siostrzenica Edisona, opowiada, że gdy pewnego razu jedna z jego sióstr złożyła mu wizytę w New Yorku, przyjął ją gościnnie i z braterskiem uczuciem, a gdy się żegnali, wręczył jej czek na dziesięć tysięcy dolarów. *K. K.*

J. J. RENAUD 5)

CZARNA SZPILKA

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW.

Banda okrutnych opryszków, pod wodzą niejakiego Héblis, napada i morduje najrozmaitszych wynalazców, zdobywając w ten sposób ich plany. O swym napadzie uprzedzają ofiarę przy pomocy szpilki, wyobrażającej głowę murzynki, otoczoną czterema ramionami. Jest to znak bogini śmierci — Kali. Pewien młody człowiek, nazwiskiem Barnèze, wstąpił na służbę do policji śledczej, by zdemaskować bandę, której ofiarą padł jego ojciec. Héblis porwał Lucynę Mouriade, wdowę po wynalazcy, by zdobyć plany oraz aby móc dostać w swe ręce Barnèza. Wymusza na p. Mouriade, by naznaczyła schadzkę Barnèzowi w kawiarni Doury. Barnèze przychodzi, lecz role się zmieniają i Héblis wraz ze swą bandą wpadają w jego ręce.

— Doskonale to rozumiem!... Jest się z czego naprawdę cieszyć!... Jednakże każdy z nas może mieć swoją drobną przyjemność... Chciałem tylko wtrącić swoje, małe trzy grosze... Punktualnie o godzinie dziesiątej, pani Lucyna Mouriade będzie musiała również powędrować w tę samą, długą podróż co i ja!... Nazwałeś mnie przed chwilą głupcem... Zasługuję na inną nazwę, może bardziej nawet nieprzyzwoitą, w każdym bądź razie nie na „głupca"!... Wiem dokładnie, jakie wydałeś rozkazy kilku swoim ludziom: „Podczas, kiedy ja będę chwytał tego łotra, na ulicy Raynouard, pójdziecie na ulicę Buenos-Ayres, pod ten i pod ten numer, i uwolnicie pewną kobietę, blondynkę, która tam się znajduje przywiązana do fotela"... Twoi agenci wypełnili rozkaz z całą ścisłością... uwolnili biedną brankę i wypuścili na wolność... Tylko zaszła tutaj drobna pomyłka... Ja, widzisz, jestem ze swej strony bardzo przewidujący... Przewidziałem również i tę możliwość... *Uwolniona przez agentów kobieta nie jest panią Mouriade!...*

— Cóż to za jakieś nowe łotrostwo?!...

— Jest to całkiem proste... To jedna z moich dobrych przyjaciółek tego samego wzrostu co pani Mouriade, blondynka i która cudownie potrafi zagrać swą rolę... Podczas kiedy prawdziwa pani Mouriade znajduje się zupełnie gdzieindziej a nawet stąd niedaleko... A teraz słuchaj!... Jeżeli o godzinie 10-ej nie będę wolny, punktualnie o tej samej godzinie pani Mouriade dostanie kulą w głowę... Wiesz o tem dobrze, że ani ja, ani moi towarzysze, nigdy nie cofamy się przed najdalej idącemi konsekwencjami... Hola! Barnèze! Cóż ci tak zrzedła mina?... Zrobiło ci się trochę sucho w gardle... prawda?... Zapomniałeś języka w gębie?... Sądziłeś, że mnie zgnębisz wspomnieniami o twym szanownym papie... a tymczasem możesz niemi zgładzić panią Mouriade... a ty przecież, tak się w niej namiętnie kochasz!... Wiesz co!... Twoja obecna sytuacja przypomina mi coś z teatru... Aha! prawda!... Tak samo wpadł we własną pułapkę „Cyd"... Ale dość tego!... Spojrzyjno na zegar... Wskazuje on godzinę dziesiątą bez siedmiu minut!...

— Chcesz podstępnie wywinąć się karzącej sprawiedliwości — roześmiał się Barnèze.

— Podstępem?... Ach! jak ty mnie jeszcze mało znasz, młodzieńcze!... Nigdy nie posługuję się zbytecznemi pogróżkami!... Spójrz lepiej przez okno, a napewno odejdzie ci ochota do śmiechu...

Barnèze rozsunął firanki i wyjrzał na ulicę.

W odległości mniejwięcej trzydziestu metrów, w wąskiej i pustej uliczce, która prowadziła do brzegów Sekwany, ujrzał w półmroku, słabo rozświetlonym przez latarnię gazową, dwóch ludzi, trzymających za ręce zakneblowaną kobietę. Kobietą tą była jego ukochana Lucyna.

Wiele lat temu, poprzysiągł sobie Barnèze poświęcić swoje życie na odszukanie zabójcy swego ojca...Nareszcie go schwytał... trzyma go w swych rękach... Niezliczone, tyloletnie wysiłki zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem... Biedny jego ojciec, w tak okrutny sposób zamordowany, może być nareszcie pomszczony!...

Jednakże, dokonując zemsty nad mordercą, wydaje na pewną śmierć kobietę, którą ukochał całą duszą!...

— Jeszcze tylko trzy minuty zostało ci, Barnèze do namysłu!... Widzisz, dam ci małą naukę!... Chcąc być mścicielem, niewolno być zakochanym!... Decyduj się!... Godzina dziewiąta, minut pięćdziesiąt osiem!... Za dwie minuty żadna siła ludzka nie zdoła ocalić twej drogiej Lucyny!... A wtedy pozostanie ci tylko w udziale nędzna funkcja dokonania na mnie morderstwa... Tak, tak! możesz mnie zabić, ale i twoja Lucyna będzie martwa!... Rozumiesz!... Będzie trupem!... I to zaledwie za półtory minuty!...

— A kto mi może zapewnić, że po odzyskaniu wolności spełnisz swoją obietnicę?...

— Moje słowo!... Wolałbyś napewno czegoś pewniejszego, ale ja ci narazie niczem innem nie mogę służyć... Jedynie najpiękniejszą kobietą świata!... Pozostała tylko jedna minuta!...

— Co mam uczynić? — spytał się Barnèze głosem złamanym.

— Zdejmij mi kajdany i otwórz okno...

Barnèze usłuchał, zżymając się ze wściekłości.

Héblis podszedł do okna, wychylił się na ulicę niezauważony przez niepowołanych świadków, ponieważ w pokoju panował półmrok... Ręką uczynił jakiś ruch... Barnèze zobaczył jak obaj mężczyźni wyjęli knebel z ust kobiety, puścili jej ręce i wskazali w stronę kawiarni.

— A teraz, Barnèze, spełniłem swoją obietnicę!... Idźże prędzej na spotkanie tej ślicznotki i... niezajmuj się więcej moją osobą...

. . . .

...Ludzie uwolnili panią Lucynę Mouriade, mówiąc: „Oczekują panią w kawiarni Doury... proszę iść prosto, na ulicę Raynauard...

Lucyna pobiegła szybko... W drzwiach kawiarni padła w ramiona Barnèza...

Uratowana!... ale za jaką cenę!..

— Czy można już zabrać aresztowanego?... spytał się jeden z agentów...

Barnèze otworzył drzwi do małej salki...

Héblis znikł. Na stole znalazł czarną szpilkę, tę samą, którą wpiął w mankiet marynarki Héblis. Szpilka była przypięta do kawałka papieru, na którym widniały słowa: „Do prędkiego zobaczenia, Barnèze!...".

FAŁSZYWY ŚLAD.

Barnèze wyjrzał przez otwarte okno i krzyknął: „Do prędkiego zobaczenia, Héblis!...". Zdala odpowiedział mu głos: „Wkrótce!...".

...Teraz dopiero, schroniwszy się pod opiekę Barnèze, Lucyna odczuła całą grozę tego opuszczonego miejsca, gdzie kilka chwil temu, czuła zbliżającą się śmierć.

Noc była cicha. Z ogrodów, które ciągnęły się tu ciemną ścianą wzdłuż rzeki, czuć było zapach, przypominający aromat pól i lasów. Światła wybrzeży lśniły się i migotały aż do samego Meudon. Potężny ryk Paryża dochodzi tu, jak daleki szum morza.

— A więc z powodu mej nędznej osoby wypuścił pan na wolność tego nędznika?... Ja więc stałam na przeszkodzie, by on poniósł zasłużoną karę za śmierć pańskiego ojca i mojego męża?... Powinien był pan mnie poświęcić!...

Barnèze uśmiechnął się i wziął Lucynę za rękę.

— Panią poświęcić?!... Panią!... Panią, którą...

Powstrzymał się od wyznania, które cisnęło się przemocą na usta.

— Podziwiałem pani zimną krew, kiedy pani telefonowała do Prefektury i mówiła podług naszego, umówionego klucza...

— Ach! to nie wymagało zupełnie zimnej krwi, ponieważ pan przewidział zgóry tę ewentualność... Przecież było umówione, że w razie zmuszenia mnie przez kogoś, bym panu wyznaczyła schadzkę w miejscu, gdzie zastawiono na pana pułapkę, wezwę do telefonu pańskiego sekretarza, pana Martineau, który faktycznie nazywa się Martin... Nazwisko Martineau dawało panu odrazu znać o niebezpieczeństwie... Nie mam tylko pojęcia w jaki sposób dowiedział się pan, że jestem uwięziony na ulicy Buenos-Ayres?...

— Służba telefoniczna w Prefekturze jest w ten sposób zorganizowana, że skoro ktoś wzywa jednego z nas na miasto, centrala telefoniczna melduje z pod jakiego numeru mówiono... Nic niema wtedy łatwiejszego, jak wziąć spis abonentów według numerów i odnaleźć adres rozmówcy... W ten prosty sposób dowiedziałem się skąd pani do mnie mówiła i dokąd posłać agentów, w chwili mej niebezpiecznej schadzki w kawiarni...

— Jak pan teraz wytłumaczy się w Prefekturze, z uwolnienia Héblis?...

— Już ja im to wszystko wyjaśnię... Zresztą mają do mnie zaufanie w Ministerstwie Sprawiedliwości!... Przysięgam pani, że Héblis podwójnie zapłaci swoje zbrodnie i że pani odzyska papiery swego męża... Zresztą nie jest pani tylko jedyną jego ofiarą... Bogaty przemysłowiec Darbelasse również jest szantażowany przez Héblis... Znajduje się on w poważnem niebezpieczeństwie... Narazie zrobione jest co można w celu jego ochrony... Domu strzegą pilnie poukrywani agenci... Zastawiono pułapkę, dobrze obmyśloną, w którą Héblis, prędzej czy później, musi wpaść... On zupełnie nie

(D. c. na str. 22-ej).

CZARNA SZPILKA

(Dalszy ciąg ze str. 22)

podejrzewa, że dom Darbelasse'a jest pod obserwacją... Sądzi, że cała uwaga policji została skierowana na pani osobę i dlatego działania jego przeciwko panu Darbelasse nie będą się odznaczały zbytnią ostrożnością... To będzie jego zgubą... A teraz odprowadzę panią do domu... Proponuję pójść pieszo... O ile naturalnie pani się zgodzi... Wieczór jest tak piękny... Jutro rano musi pani wyprowadzić się ze swego hotelu i to w taki sposób, by zgubili pani ślady... Późnym rankiem uda się pani wraz ze swą pokojówką na dworzec kolejowy, zabierając ze sobą wszystkie walizki... Na dworcu podejdzie pani do kasy i głośno zażąda pani dwuch biletów do jakiejś miejscowości, położonej dość daleko od Paryża... Pojedzie pani oczywiście pociągiem pośpiesznym... Na pierwszym przystanku, na którym nikt nie będzie wsiadał lub wysiadał, wyjdzie pani z pociągu... O ileby pani zauważyła, że ktoś panią śledzi, wsiądzie pani zpowrotem... W szczęśliwym wypadku wróci pani następnym pociągiem do Paryża... W międzyczasie wynajdę dla pani jakieś umeblowane mieszkanko, ponieważ nie powinna pani powrócić do dawnego hotelu... Mam nadzieję, że w ten prosty sposób zmyli pani ślady...

— Wypełnię wszystkie pana polecenia skrupulatnie i... dziękuję z całego serca...

. . . .

Na drugi dzień rano, Barnèze, poszedł na *rue Rembrandt*, koło parku Monceau, celem porozumienia się z panem Darbelasse. Jego piękny pałacyk był pilnie strzeżony.

Nikt obcy niemógł podejść do drzwi wejściowych lub do okna, nie będąc uprzednio zauważonym i dokładnie wybadanym.

Barnèze musiał sam osobiście bardzo długo pertraktować z pilnującymi, by być dopuszczonym na próg domu. Tak samo cała służba pana Darbelasse pełniła uzbrojoną regularną wartę wewnątrz domu.

Na czele służby stał lokaj, ślepy na jedno oko, sepleniący, który nie sprawiał, na pierwszy rzut oka, dobrego wrażenia. Martwe oko zasłonił czarną przepaską. Przez cały czas rozmowy z Barnèzem trzymał rękę wsuniętą w kieszeń od spodni, w której wyczuwało się rewolwer o dużym kalibrze.

Pan Darbelasse postarzał się przez te parę dni!... Ręce jego nieustannie drżały!... Ze skurczonych przerażeniem ust wydobywał się krótki, chrapliwy oddech... Z włosami zmierzwionemi, czynił przykry widok człowieka śmiertelnie przerażonego...

Kurczowo uścisnął za ręce wchodzącego Barnèze.

— Nareszcie pan się zjawił!... Cóż za piekło niepokoju przeżywam od paru dni!... Słyszałem o pańskiej wybitnej inteligencji i odwadze!... Mam do pana bezgraniczne zaufanie!... Okropna sytuacja!... Jestem uwięziony we własnym domu!... Pozbawiono mnie wolności i zmuszono do porzucenia mych interesów!...

— Czy ów tajemniczy Heblis telefonował do pana?... A może w jakiś inny sposób dał powtórnie o sobie znać...

— Nie! ani telefonicznie, ani listownie!... Daję panu na to słowo, że rozpacz w jaką wpadłem z powodu tej awantury jest tak straszna, że już nawet zgodziłbym się dać mu wszystko, czego zażąda!... Nawet cały mój majątek!... Jednakże nie wiem, gdzie go mogę znaleźć!... Nie potrafię się z nim skomunikować!... A przytem on wyraźnie dybie na moje życie!... Już dwukrotnie usiłowano mnie zabić!...

(D. c. n.).

DYFTERYT

(Dokończenie ze str. 9)

Tak więc, zaczęła robić intubację... i oto usprawiedliwiły się przecie tragiczne przeczucia moje! Udusiła dziewczynkę niezdarnie założoną rurką! Udusiła dziewczynkę, a we mnie — jakże dziwnie ułożony jest człowiek! — Kipi — nie współczucie, nie rozpacz, a jakieś złośliwie ponure uczucie triumfu. Patrzcie, patrzcie. Wszyscy patrzcie! Nie omyliłam się jednak!

W tej chwili właśnie wchodzi do sali operacyjnej Marja Aleksandrowna. Zwykle stąpa bez najmniejszego szelestu, my bowiem — pracownicy lekarscy — uczymy się chodzić bezdźwięcznie, jak matki, a tu wpadła niby tygrysica, szukająca dziecka. Siwe jej włosy, roztrzepane, zwisały kosmykami na twarzy, ręce drżą, i o nic mnie nie pyta, wszystko zrozumiałe jest bez słów: dziewczynka ma zupełnie zsiniałą twarz i oczy, z których nawet śmierć nie mogła zmyć męki, rozwarte są, jak nieoszklone okna. I obie — Zinaida Borysowna i ja — odskoczyłyśmy aż od stołu, ustępując jej miejsca, lecz ona, zbadawszy puls, w milczeniu odeszła do umywalki. I oto obserwuję ją, stojąc przy oknie, i nie jestem w stanie podnieść oczu powyżej jej nóg, boję się nawet po nogach jej czytać, i tu dopiero spostrzegłam, że ma zdeptane buciki o białych tylkach, i pomyślałam nawet: mogąż istnieć takie niechlujne buciki! Po umyciu rąk Marja Aleksandrowna wyszła bezdźwięcznym krokiem z sali operacyjnej, tak jak chodzą jedynie matki, albo — jeśli w pokoju leży nieboszczyk.

— Proszę iść, powiedzieć ojcu, — zwraca się do mnie Zinaida Borysowna.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam jej nawet. Twarz miała spokojną, tylko zazwyczaj niewzruszone, niby wrosłe w ciało jej brwi, burząc się, wylazły na czoło z wyrazem bezsilnej, skruszonej odrazy, znanym jedynie lekarzowi, który ma na rękach krew zmarłego właśnie człowieka.

— Pani zawiadomi ojca, — powtarza uporczywie.

— Pani zabiła, — odpowiadam jej — niechże pani sobie zawiadamia...

Poruszyła przejmującemi brwiami swemi i dodaje:

— To, co tu się dzieje — jest tajemnicą... Zrozumiano?

A ja się jedynie uśmiechnęłam w odpowiedzi na to:

— Pani się boi? Boi się pani zapewne stracić posadę?

Rozmawiałyśmy z sobą niemal szeptem i raczej domyślałyśmy się nawzajem słów, aniżeli śmy słyszały, — a jednak w owej chwili miałyśmy wrażenie, że krzyczymy na cały szpital.

— Boi się pani stracić posadę! — powtórzyłam, podchodząc do niej bliżej i oglądając ją z nowem, dla mnie samej niezrozumiałem, uczuciem, jakgdybym ją pierwszy raz widziała. A może istotnie tak było. Żyje się z niejednym całe życie i nie wiemy: jaki jest? jakiego koloru ma oczy? — a tu naraz nadchodzi chwila, kiedy zdejmujemy niby futro z serca i serce na przygodnej dłoni naszej zatrzepoce obnażone. Byłam w owej chwili obrzydliwie podła, teraz rozumiem to dopiero: sercem jej na swej dłoni bawiłam się niby piłeczką — głupiemi słowami swojemi.

— O obowiązku raczyła sobie pani przypomnieć! Dlaczegoż to nie pomyślała pani o tem przed operacją? To nie służba, o, nie! Wszystko pod słońcem można w służbę zamienić, ale w nóż uzbrojonej ręki ludzkiej nikt nie jest w stanie zmusić do służby... Nóż w ręku ludzkiem wymaga bohaterstwa!

— Więc co, — uśmiechnęła się, — spalić się mam?

— Spalić się, — krzyczę do niej przytłumionemi, niesłyszalnemi słowami swojemi, — właśnie spalić się... Nóż w ręku pani — to kwestja służenia sprawie, a nie służby...

— Bzdury... głupi idealizm pani... a to — kiwnęła głową na dziewczynkę, i miałam wrażenie, że zsiniała główka dziecięcia poruszyła się na stole, jakgdyby przysłuchiwała się pojedynkowi naszemu, — to... tylko przypadek, lub może próbna lekcja... Proszę udać się do ojca!

— W żadnym razie!

— Rozkazuję pani iść, — powiedziała spokojnym władczym tonem lekarza, który prosi o podanie mu bandażu. W tej chwili jakby wyczuła we mnie coś takiego, czego sama w sobie nie ważyłam się domyślać. Kto z nas ma słuszność? Któż ośmieli się zdecydować? A może niepohamowanemi słowami swojemi o służeniu sprawie usiłowałam zepchnąć krew śmiertelną z własnych rąk na ręce bliźniego? A może w rzeczy samej skalpel w ręku ludzkiem powinien być nie kadzidłem, a palcem, który tak wrósł w rękę, że nie drży?... A przecież Marji Aleksandrownie, choć była niezwykle doświadczonym lekarzem, zawsze w czasie operacji drżą ręce, jakgdyby nie okiem, a sercem odnajduje właściwy nerw. A, wreszcie ja sama, — czy nie staram się przed operacją przekonać samą siebie, że mam przed sobą nie żywego człowieka, a przedmiot, — przecież tylko wtedy zjawia mi się niezbędny spokój, a ruchy moje nabierają ścisłości instrumentu. Każdy z nas przeżywa w sobie walkę dwóch czynników: służenia sprawie i służby, — czyż może winę ponosić Zinaida Borysowna, że jeden z nich doprowadziła do perfekcji, a drugi — ten przeszkadzający jej — wyrugowała?...

— A no, więc, niechże pani już idzie do ojca, — powtórzyła pieszczotliwie, jak do dziecka, i ja poszłam pokornie. Zgóry wiedziałam: zaraz szał się rozpocznie, on — palący sobie papierosa w oczekiwaniu śmierci ojciec — zacznie biegać po ambulatorjum i, wstydząc się dławionych łez swoich, będzie krzyczeć i grozić. Grozić będzie tem okropniej, im obficiej trysną obrażające godność jego, tragiczne łzy. A potem z wycieńczenia zwali się na krzesło, i twarz jego przyjmie wyraz bezdennej pustki człowieka, któremu zakomunikowano, że umarła ziemia. Wszystko to już wyczuwałam z dwudziestopięcioletniego doświadczenia mojego. Tak też jota w jotę się stało. Z zawodową dyskrecją naszą czekałam, aż się wygada, aż się zmęczy, aż się zakrztusi bezsilnym, spóźnionym gniewem swoim; musiałam mu zadać rzeczowe pytanie, wykonać obowiązek służbowy, który mi przypadł w udziale po śmierci córki jego:

— Czy pan będzie robić sekcję, czy też zabierze pan ciało dla pochowania?

I, jak to często bywa u rodziców, — nie śmierć, a słowo „pochowanie" zrozumiał, odrazu zrozumiał, przez skórę, — opuścił na ziemię czapkę, którą przed chwilą wymachiwał niby nożem. Ta opuszczona na ziemię czapka znowu poruszyła we mnie współczucie i świadomość niejako ogólnej winy naszej wobec niego, — i poruszyłam się, żeby mu podnieść z ziemi czapkę, żeby uspokoić go tym realnym, życiowym gestem. To prawda: nasza zawodowa obojętność jest właśnie najstraszniejszą dla rodziców rzeczą, nijak jej zrozumieć nie mogą, lecz gdyby zrozumieli — nie przynosiliby dzieci do baraków naszych, — i dzieci marłyby — opychane słodyczami ich, przygniatane uściskami, duszone ich łzami.

I wówczas wzięło we mnie — i to po raz ostatni owego strasznego dnia — znowu górę to drugie, co skłoniło mnie do posłusznego wykonania rozkazu Zinaidy Borysowny. Powiedziałam mu z wyrazem chłodnej grzeczności:

— Świadectwo zejścia otrzyma pan w ambulatorjum.

Zdawałam sobie sprawę, że na tym urzędowym frazesie kończę wszelkie moje stosunki z nim (i nietylko moje, bo również szpitala, którego byłam przedstawicielką), ale, wymawiając okrutne zdanie to, po raz pierwszy w życiu słyszałam dźwięk własnej mowy, których człowiek nigdy nie słyszy.

7 dni naszego czytelnika

KALENDARZYK TYGODNIOWY.

Grudzień.

1 N. Eligjusza
2 P. Bibianny
3 W. Franciszka
4 Ś. Barbary
5 C. Sabby
6 P. Mikołaja
7 S. Ambrożego

TEATRY

Wielki: dn. 28 b. m. Marja, dn. 29 b. m. Halka, dn. 30 b. m. Trubadur, dn. 1 grudnia M-me Butterfly, dn. 2 grudnia — nieczynny.
Narodowy: Codziennie: Kres Wędrówki.
Letni: dn. 28 b. m. Wywczasy donżuana, od dn. 29 b. m. codziennie: Panienka z dyplomacji.
Nowy: Codziennie: Anna Christie.
Polski: Codziennie: Rewizor.
Mały: Codziennie: Czarujący emeryt.
Ateneum: Codziennie: Bronx — Express.
Elizeum: Codziennie: Bóg, szatan i człowiek.
Morskie Oko: Rewja p. t. Cała Warszawa.
Qui-pro-quo: Rewja p. t. Coś wisi w powietrzu.
Cyrk: Program Jubileuszowy.

KINA

Apollo i Filharmonja: „Szlakiem hańby".
Casino: „Studentka z Quartier Latin".
Capitol: „Pies Baskerwillów".
Wodewil: „Kobieta, która grzechu pragnie".
Splendid: „Śpiewający błazen".
Pan: „Ludzie bez jutra".
Światowid: „Statek komedjantów".
Colosseum: „Noce bezsenne, noce szalone"...
Palace: „Bicz Boży".
Stylowy: „Kobiet".
Hollywood: „Gra namiętności".
Quo Vadis: „Najwyższa cena miłości".

WYSTAWA PHILIPSA
„Radjo i Światło".
Warszawa — Mazowiecka Nr. 9.

Czwartek, 28 listopada.
Dzień zarezerwowany dla Katolickiego Związku Polek. Zwykłe zaproszenia nieważne.
Piątek, 29 listopada. Godz. 17.30.
Odczyt p. t. „Historja światła" wygłosi p. J. L. Stamirowski.
Godz. 19.30.
Odczyt p. t. „O wyborze lamp do radjoodbiornika" wygłosi p. Bolesław Starnecki.
Sobota, 30 listopada.
Dzień zarezerwowany dla Zrzeszenia Beletrystów Polskich. Zwykłe zaproszenia nieważne.
Niedziela, 1 grudnia.
Dzień zarezerwowany dla Towarzystwa Kolonij Letnich. Zwykłe zaproszenia nieważne.
Poniedziałek, 2 grudnia.
Dzień zarezerwowany dla Stowarzyszenia Pisarzy i Krytyków Muzycznych. Zwykłe zaproszenia nieważne.
Wtorek, 3 grudnia. Godz. 17.30.
Odczyt p. t. „Złudzenia świetlne" wygłosi p. J. L. Stamirowski.
Godz. 19.30.
Odczyt p. t. „Co każdy o radju wiedzieć powinien" wygłosi p. I. Bursztyn.
Środa, 4 grudnia Godz. 17.30.
Odczyt p. t. „Budowa radjoodbiorników, zasilanych z sieci elektrycznej" wygłosi p. Z. Lorentz.
Godz. 19.30.
Odczyt p. t. „Najtańsza reklama" wygłosi p. H. Kolbert.
Czwartek, 5 grudnia.
Dzień zarezerwowany dla Bratniej Pomocy Szkoły Malarstwa i Rysunku, im. prof. Krzyżanowskiego. Zwykłe zaproszenia nieważne.
Piątek, 6 grudnia. Godz. 17.30.
„Światło jako lekarz" wygłosi p. J. L. Stamirowski.
Godz. 19.30.
Odczyt p. t. „Wczoraj i dziś" wygłosi p. W. Popławski.
Sobota, 7 grudnia.
Godz. 17.30.
„Odczyt p. t. „Radjo na usługach wychowawcy". (Powtórzenie) wygłosi p. I. Bursztyn.
Godz. 19.30.
Odczyt p. t. „Najtańsza reklama" wygłosi p. H. Kolbert.
Niedziela, 8 grudnia.
Dzień zarezerwowany dla Bratniej Pomocy Szkoły Nauk Politycznych. Zwykłe zaproszenia nieważne.
Wystawa „Radjo i Światło" czynna jest codziennie od godz. 17 do 22. oprócz poniedziałków.
Wejście bezpłatne za kartami wstępu, które otrzymać można u kierownika wystawy przy ul. Mazowieckiej 9, od godz. 17 do 22-ej.

Odciąć, dokładnie wypełnić i przysłać do redakcji.

Konkurs na „Najpiękniejsze dziecko polskie"

Głosuję na dziecko Nr. ....

Imię i nazwisko głosującego:

....

....

Adres:

....

....

Udział w głosowaniu biorą rodzice oraz wszyscy bez wyjątku czytelnicy „7 DNI"

Głosować należy na dzieci, których fotografje, wybrane i dopuszczone przez sąd konkursowy, były zamieszczone w Nr. Nr.: 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40 i 41 „7 DNI".

Każdy kupon liczy się jako 1 głos. Każdy głosujący może nadsyłać dowolną ilość kuponów.

Niebywałe nagrody: I — 3000 zł., II — 2000 zł., III — 1000 zł. i t. d.

KUPON DO GŁOSOWANIA NA ODWROCIE

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

Encyklopedja filmowa

E.

EXPRESS.

W expressie przeżywa zwykle bohater ciężkie chwile. W pociągu bowiem dowiaduje się zawsze o zdradzie ukochanej. Wyraźnie czyta w gazecie, którą inny pasażer przypadkowo przed nim położył, że ukochana istota, wyszła za mąż, a w najlepszym razie zaręczyła się z innym.

Wówczas bohater szaleje, wskakuje na dach expressu, po drodze zabija kilku bandytów, którzy właśnie chcieli pociąg okraść i zmienia kierunek drogi, aby zdążyć jeszcze przed ślubem niewiernej.

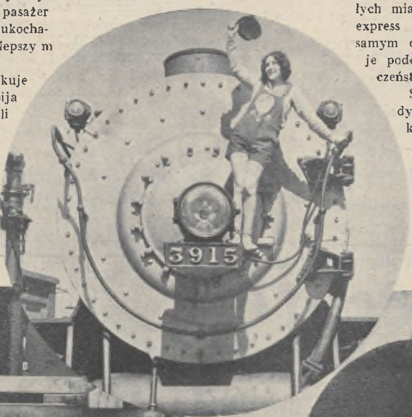
Niekiedy także dowiaduje się w pociągu o własnej śmierci, mylnie podanej przez reporterów i o komplikacjach, jakie z tego powodu nastąpiły.

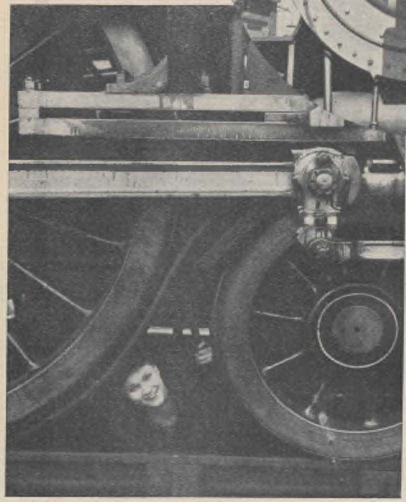
Wagony restauracyjne służą do zawierania znajomości, kończących się również tragicznie, powodem zaś istnienia korytarzy kolejowych jest możność zaglądania do przedziałów i przyłapania w ten sposób własnej żony na zdradzie.

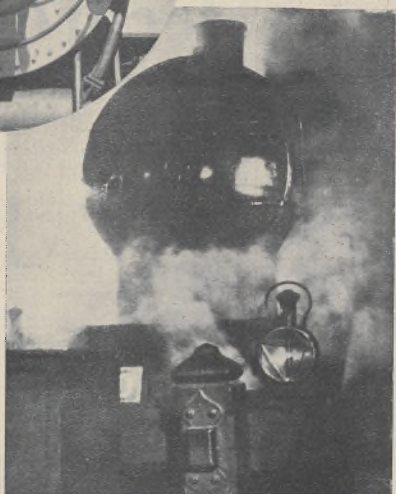
Często także następuje katastrofa kolejowa, w której bohater otrzymuje ciężką ranę, pozbawiającą go na długi czas pamięci.

Bardzo niebezpieczne są expressy dla młodych panienek, mieszkających w małych miasteczkach. Niekiedy bowiem taki express przystaje niespodziewanie przed samym domem, panienka wsiada i doznaje podczas nocy tysiącznych niebezpieczeństw.

Słowem — tak czy inaczej, eskapady kolejowe zawsze tragicznie się kończą. Nie było jeszcze takiego wypadku, aby bohater poprostu wsiadł do wagonu i szczęśliwie bez żadnych komplikacyj, wysiadł u celu podróży.







Fot. Julfilm i Pelef.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sladowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, 1/2 strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.

Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.

Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct, Sp. Akc. w Warszawie, Czerniakowska 225.